

odątkosy



Nr 25 (329)
Zł. VI. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: Tajemnice skradzionych obrazów • Notatnik festiwalowy • Obce sezony • Cześć dla Atwatki • Drugi brzeg • Na półkach księgarskich • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

„Sztuka postępową zawsze była sztuką walezącą, wspierającą to, co twórcze i wzniosłe, walezącą przeciw złu, krzywdzie i upodleniu człowieka. Każda wielka sztuka była zawsze sztuką wielkich konfliktów społecznych i moralnych, wobec których określała swoje stanowisko, przeciwstawiała się siłom tyranii i wsteczności, była po stronie walezących o postęp i demokrację. We wszystkich przełomowych momentach nowożytnej historii naszego kraju naród nasz i jego twórcze, postępowe siły znajdowały oparcie w ojczyściej literaturze i sztuce. Towarzyszyły one narodowi w walce o niepodległość, były jego sumieniem i natchnieniem, często dawały wyraz protestom przeciw niesprawiedliwości społecznej, przeciw skostnieniu i konserwacyzmowi, przeciw zakłamanemu mieszczańskiemu obyczajowi. Ze związków z losami narodu i jego postępowymi wyzwolenческими dążeniami literatura nasza czerpała swą siłę.“

Z referatu Władysława Gomułki na IV Zjeździe PZPR.



Rozmawiamy
z delegatem
na IV Zjazd
Partii-rektorem
Uniwersytetu
Łódzkiego prof.
dr. Stefanem
Hrabcem

CIERPLIWOŚĆ i OPTYMIZM

Obchody 20-lecia PRL i kampania przedjazdowa stały się, jak wiadomo, okazją do czynienia różnego rodzaju obrachunków z naszą nowojenną, krótką, ale jakże bogatą w wydarzenia i osiągnięcia, historią. Spróbujmy więc może porozmawiać na temat rangi kulturalnej, i tak niewątpliwie Łódź osiągnęła właśnie w tym okresie.

— Powiedzmy sobie na początek, że tak już niestety jest, iż największe prawdy kończą się frazesem. Takim właśnie frazesem stało się stwierdzenie, że Łódź w okresie powojennym zdobyła się na wielkie osiągnięcia w zakresie kultury, że te osiągnięcia są sztandarowym przykładem rewolucji kulturalnej przyniesionej nam przez ustrój socjalistyczny. Frazes ten wyraża jednak jedną z najbardziej bezspornych i zasadniczych prawd.

Spróbujmy więc odwrócić sytuację i wyobraźmy sobie co by się w tym mieście stało, gdyby nagle przestały istnieć np. wyższe uczelnie. A przecież gdy one powstawały wielu ludzi nie zdawało sobie na wet sprawy czym jest tego rodzaju placówka naukowa.

Lecz czas biegnie szybko, w tysiącach

rodzin młodzi ludzie absorbowali uwagę rodziców swoimi studiami, wiedli nie kończące się opowieści o nauce, egzaminach, profesorach itd. Bądź co bądź mamy już całe generacje wychowanków, które weszły w życie łódzkiego społeczeństwa. Wydaje mi się, że ta inteligencja coraz bardziej będzie wpływała na poziom kulturalny mieszkańców miasta. Dlatego też za najważniejszy miernik rangi kulturalnej Łódź trzeba chyba przyjąć właśnie rozwój szkolnictwa wyższego i ośrodków naukowo-badawczych.

Nie od rzeczy też będzie wspomnieć, że łódzkie wyższe szkoły artystyczne w sposób bezpośredni od lat kształtują obraz życia artystycznego. Samo przypomnienie nazw takich uczelni jak Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa, Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych czy Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna wystarczy, by łódzianie już wiedzieli o co chodzi.

— Szkolnictwo wyższe, rozwój zawodo-

Dalszy ciąg na str. 3

Piotrkowskie famillaki i ich podwórka do złudzenia przypominają Księży Młyn: podobne są tu i obyczaje. Wczesnym przedpołudniem wszyscy są w pracy i tylko dzieciarnia kotłuje się między drewnianymi komórkami, a na trzepaku babcia Jóźwiakowa z furą rozprawia się z postępującą pierzyną. Poza tym pusto i cicho.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni Aleksy Kudyniuk zawsze o tej porze wychodzi na działkę. Ludzie poszli do pracy — myśli Aleksy: hutnik, jak ojciec i wszyscy bracia, w hutach szkła spędził czterdzieści lat życia, coś dziwnego, że nie może przywyknąć iż dziś na niego nie czeka już praca. Pusto bez niej, przykro i czas się dłuży, trochę tak jak bez papierosa, kiedy człowiek się odzwyczaja od palenia, a nawet jeszcze gorzej.

Aleksy przechodzi przez podwórkę, na skos, obok komórek, z daleka omijając trzepak: nie lubi o tej porze rozmawiać z kobietami, takie rozmowy podkreślają jego poczucie bezczynności. Wyprostowany, z głową zadartą w niebo, jak chodził czterdzieści lat temu, tak chodzi i dziś, na progu sześćdziesiątki, Barczysta sylwetka,

WACŁAW BILIŃSKI

BUNTOWNIK

ramiona atlety, opalona twarz z pajęczyną wesołych zmarszczek w kącikach młodych oczu: nie wygląda na swoje lata, kobiety się za nim jeszcze obejrzą, mało się zmienił, nie dał się życiu, nie upokorzył się przed starością. I gdyby nie to serce, byłby wciąż młody: nie zawiodły płuca i mięśnie, nie zawiodły ręce i oczy. Serce okazało się najbardziej zmęczone. Czy dlatego, że zawsze był taki popędliwy, taki w gorącej wodzie kąpany? Czy dlatego, że zawsze, jak pamięć sięgnie, był taki zbuntowany?

Idzie więc hutnik Aleksy Kudyniuk do swej „rentowej” roboty: tak ją nazywa. Działka, ta sama od kilkudziesięciu lat, dziś musi mu zastąpić gwar huty i jej gorący, szybki oddech. Na ogródkach o tej

porze pusto. Kudyniuk na swej działce zbudował letniak, pomalował go kolorowo, wesoło, postawił w nim starą kanapę i krzesło. Od świata tę samotnie zasłania zagon wybujałych malin i rososchata grusza. Aleksy lubi ten zakątek — cisza pozwala mu zapomnieć o chorobie, w tej ciszy nie dźwięczy żaden wyrzut. No i wspomnienia. Tu zawsze nachodzą Aleksego Kudyniuka wspomnienia.

25 kwietnia 1925 r.

Czterdzieści lat, a jest tak, jakby to było wczoraj. Piotrków był wtedy, na wiosnę 1925 roku inny, jakby mniejszy

i bardziej mroczny. Wiosna była przegaziona i niewesoła. Pod famillakami już od rana przechadzał się posterunkowy z paskiem pod brodą. W sklepiu kobiety opowiadały sobie coś szeptem. Przy ciuchach tajniacy, nawet się nie kryjąc, zaglądali ludziom w zęby. Nad miastem wisiła ciężka, dusząca atmosfera klęski. Było to w rok po wielkim strajku, i nadszedł czas rewantu.

Aleksy miał wówczas dwadzieścia lat. Wiedzie, co znaczy mieć takie, jak on wówczas, dwadzieścia lat? Nawet ojciec i bracia — choć i o nich przecież mówił, że to zbuntowani Kudyniacy — nawet ci starsi musieli go powstrzymywać. Był zawadiaką, zbierało w nim poczucie siły. I gniew. I nienawiść. Rok temu, w czasie strajku pokazał co potrafi. To on organizator KZMu, uniohmil strajkową syrenę, strzeżoną i zaszpuntowaną na wszelki wypadek przez wesołego coś złego zarządcę. To on pociągnął za sobą młodych do okupacyjnego,

Dalszy ciąg na str. 4

odgłosy W świecie

Konserwatywny rząd W. Brytanii nie może się uskarżać na brak kłopotów, zarówno jeśli chodzi o politykę zagraniczną, jak i wewnętrzną. Do bilansu wewnętrznych niepowodzeń

torysów doszedł ostatnio poważny kłopot z armią. W zasadzie nie jest to kłopot nowy, datuje się bowiem od r. 1960, kiedy to obowiązkową służbę wojskową, zastąpiono ochotniczą — zawodową.

Spadkobiercy „rycerskich” tradycji z czasów podbojów kolonialnych przekonali się wówczas ze zgrozą, że młodym Anglikom nie imponuje zawód żołnierza, barwne

które na koniec ub. roku wynosiło 9 tys. ludzi, brytyjski minister wojny zmniejsza stan osobowy kompanii i batalionów, a w konsekwencji również pułków i

gazetach codziennych ogromne, bogato ilustrowane ogłoszenia. Wesołe obrazki okolicznościowe, cukierkowane zdjęcia, mają przekonać młodych Tommies, że warto

Najważniejsze z nich, to: 1) szerokie dopuszczenie do zawodowej służby wojskowej kolorowych (Murzynów, Azjatów, Metysów), co dotąd obwarowane było wieloma drobiazgowymi przepisami, 2) obniżenie wieku ochotników z 17 i pół do 17 lat, 3) podwyższenie dziennego żołdu do 3,15 dolara.

„Niekiedy ludzie sądzą, że zniesienie obowiązkowej służby wojskowej przemieniło nasze wojsko w jakąś armię domową”, głosi jedno z gazetowych hasel brytyjskiego ministerstwa wojny. „Ale przecież na Cyprze, w Adenie, w Malajazji, w brytyjskiej Gujanie i Kenii jest obecnie naszych oddziałów więcej, niż kiedykolwiek przed wojną”. To prawda. Pytanie tylko, jak długo jeszcze tam będą?

(J. BIN).

„Manko” w brytyjskiej armii

mundury i owiane romantyzmem potyczki z „dzikimi” w Adenie i w Gujanie brytyjskiej. Nabór ochotników przebiega słabo i z roku na rok ma tendencję zniżkową. Tak np. w 1962 r. zgłosiło się 27.555 ochotników, ale w ub. roku już tylko 16.462. Chcąc ukryć owe „manko” w armii — że użyjemy tego handlowego określenia —

armii. Tak więc oddział angielskiego pogotowia w ramach NATO wynosi zaledwie 450 ludzi zamiast 900, brytyjska Armia Renu w NRF ma o 3 tys. żołnierzy mniej, niż mieć powinna.

Równocześnie jednak rząd robi wszystko, by młodzież zachęcić do zawodowej służby wojskowej. Minister Thorncroft zamieszcza w

przekazywać (ale bez gwarancji!) pasjonujące przygody w dzunglach Borneo, Kenii, Gujany...

Obok chwytów propagandowych, podjęto ostatnio szereg kroków administracyjnych, dzięki którym — jak tego oczekują torysi — stan osobowy armii w 1965 r. powinien osiągnąć zaplanowany pulap — 180 tys. ludzi.

MIROSŁAW CYGAŃSKI

Herman Krumei — współnik zbrodni Adolfa Eichmanna

W związku z rozpoczęciem się drugiej rozprawy sądowej we Frankfurcie n/Menem eksportownika SS Hermana Krumei warto przypomnieć sylwetkę tak dobrze znanego ludności polskiej zbrodniarza wojennego. SS-Obersturmbannführer Herman Krumei, z pochodzenia Niemiec sudecki i aktywny działacz Sudeten Deutsche Partei K. Henleina, rozpoczął szybką karierę w szeregach SS i policji bezpieczeństwa w początkach II wojny światowej na okupowanych terenach Polski. Już w połowie listopada 1939 r. objął stanowisko szefa ekspozytury łódzkiej poznańskiego urzędu wysiedleń ludności polskiej i żydowskiej przy wyższym dowództwie SS i policji (Amt für Ausiedlung von Polen und Juden beim Höheren SS und Polizeiführer) przekształconej w kwietniu 1940 r. w centralę przesiedleńczą (Umwandererzentralstelle — Posen, Dienststelle — Litzmannstadt w skrócie UWZ). Na stanowisku szefa tego urzędu pozostał Krumei aż do końca okupacji.

Łódzka UWZ odgrywała już od początku swego istnienia najpoważniejszą rolę w administracji okupacyjnych urzędów przesiedleńczych w „Kraju Warty”, a zwierzchnictwo poznańskiego UWZ ograniczało się do funkcji nadzorczych. Był to główny urząd przesiedleńczy na tym obszarze, odgrywał poważną rolę w realizacji hitlerowskiej polityki narodowościowej. Łódzkiej UWZ podlegało, w latach 1940—42 13 ekspozytur w „Kraju Warty”. Aparat

ten spełniał rolę kierownictwa w akcji usuwania ludności polskiej i żydowskiej drogą wysiedleń do GG. Wysiedlenia Polaków i Żydów w systemie polityki narodowościowej okupantów uchodziły obok eksterminacji za najpoważniejszy środek prowadzący do zniemczenia zachodnich dzielnic Polski wcielonych do Rzeszy. H. Krumei, wyróżniający się energią i okrucieństwem cieszył się wielkimi względami swych zwierzchników: R. Heydricha — szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa III Rzeszy, Adolfa Eichmanna — kierownika referatu „rozwiązania” problemu żydowskiego w tym urzędzie i Damyzy — inspektora policji bezpieczeństwa w Poznaniu.

Charakterystycznym przykładem metod przesiedleńczych było usunięcie ludności polskiej z Osiedla im. Montwiła Mirskiego w Łodzi. W okresie największych mrozów (31.XII.1939 r. i 16.I.1940 r.) wyrzucono z mieszkań 4.000 rodzin, zupełnie zaskoczonych tą akcją, pozostawiając im zaledwie kilka minut na zabranie niezbędnych rzeczy. Cała ta operacja kierował osobiście H. Krumei.

Dalsza „zasługa” Krumei była zorganizowanie w Łodzi i okolicy (Konstantynów, Tuszyń) kilku obozów przesiedleńczych, w których umieszczano większość wysiedlanych Polaków z całego obszaru „Kraju Warty”.

W latach 1940—41 UWZ przeprowadziła 70 wielkich operacji przesiedleńczych skierowanych przeciw polskiej ludności wiejskiej w „Kraju Warty”. Materiałów o tych operacjach dostarczała akcja tego urzędu, znajdująca się w Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz w Państwowym Archiwum w Łodzi. Wysiedlenia polaczone były z całkowitą konfiskatą mienia, przeznaczanego dla sprowadzanych z zagranicy osadników niemieckich. Większość wysiedlanych kierowano do obozów łódzkich, gdzie ograbiano ich z pieniędzy i kosztowności, rzeczy, przedmiotów cenne, wartościowe. Ofiarą głodu, zimna, fatalnych warunków sanitarnych oraz brutalności załogi obozów padło kilka tysięcy osób. Były to przeważnie dzieci i osoby starsze. Z tych co przeżyli, młodszych wywożono na roboty do Niemiec, uznane za „wartościowe rasowo” jednostki przeznaczano do zniemczenia, a pozostałych przesiedlano do GG. Odpowiedzialność osobista Krumei, jako szefa kierownictwa urzędu przesiedleńczego, za metody akcji policyjno-wysiedleńczej i sytuację w obozach, nie może budzić wątpliwości.

Bilans działalności UWZ w świetle własnego raportu zamykał się w końcu 1943 r. cyfra 534.384 osób wysiedlonych do Guberni, wywiezionych na roboty do Niemiec i dotkniętych przesiedleniami w obrębie „Kraju Warty”. Obok kierownictwa całego aparatu UWZ, Krumei zatrzymał w swych rękach kierownictwo III Wydziału — Abteilung Polizeinsatz, który uczestni-

czył bezpośrednio w operacjach i zajmował się tropieniem Polaków zbiegłych przed wysiedleniem. W uznaniu za to „sprężystą działalność” zdobywał on coraz wyższe szlify oficerskie SS, szybko awansował ze stopnia majora na pułkownika.

Działalność urzędu i jego sprzężonego szefa służyła wkrótce poza teren „Kraju Warty”. W związku z planem Himmlera stworzenia największego skupiska niemieckiego na Zamojszczyźnie, łódzka centrala przesiedleńcza utworzyła swą ekspozyturę w Zamościu (Umwandererzentralstelle — Posen, Dienststelle — Litzmannstadt, Zweigstelle — Zamość), której kierownictwo objął osobiście H. Krumei. Urzędowi temu przypadała rola kierownictwa w usuwaniu ludności polskiej z powiatów zamojskiego, hrubieszowskiego i biłgorajskiego, w celu przygotowania miejsca dla osadników niemieckich repatriowanych z Rumunii, Jugosławii i ZSRR. Ekspozytura zamojska centrali przesiedleńczej położyła poważne „zasługi” w akcji wysiedleńczo-wysiedleńczej ludności polskiej w Lubelskiem w okresie od października 1942 r. do sierpnia 1943 r., propagując na tym terenie swoje doświadczenia i metody zastosowane w „Kraju Warty”. W sumie wysiedlono 297 wsi i 110.000 Polaków.

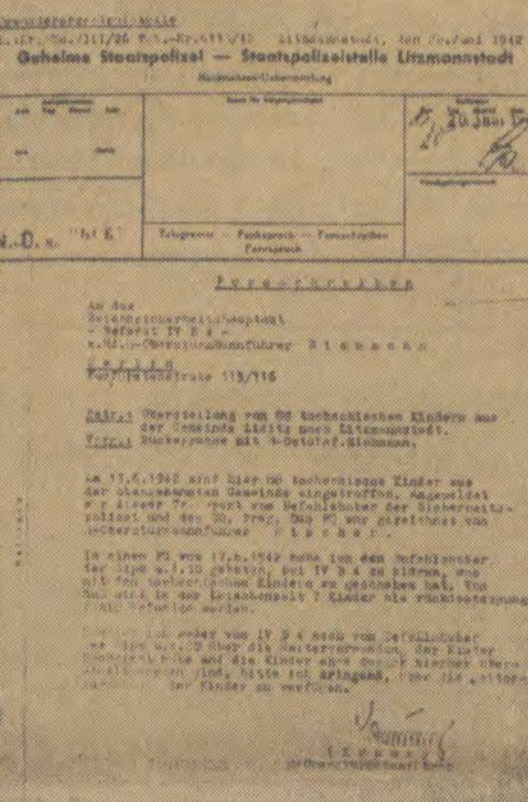
H. Krumei osobiście podpisywał rozkazy wysiedleń Polaków z poszczególnych wsi w powiecie zamojskim.

Działalność UWZ nie ograniczała się tylko do kierowania operacjami przesiedleńczymi. Ważnym oddziałem działalności Krumei był udział w akcji germanizacji rodzin polskich wytypowanych do zniemczenia w „Kraju Warty”.

Łódzka centrala przesiedleńcza spełniała w latach 1943—1944 rolę decydującego czynnika opiniotwórczego w sprawach germanizacji rodzin polskich. Akcja ta odgrywała zasadniczą rolę w działalności tego urzędu w ostatnich latach okupacji, kiedy osłabły operacje przesiedleńcze poprzednio tak intensywne.

Specjalną kartę w zbrodniczej karierze H. Krumei stanowiła jego współpraca z A. Eichmannem. Należał do sztabu najbliższych współpracowników A. Eichmanna. Energia, brutalność i okrucieństwo zjednały Krumeiowi szczególne względy A. Eichmanna, który powierzył mu wiosną 1944 r. funkcję szefa Sonderinsatzkommando w Budapeszcie, prowadzącego proces zagłady ludności żydowskiej na Węgrzech. Występując tutaj w charakterze zastępcy Eichmanna, Krumei od 19 marca 1944 r. kierował eksterminacją Żydów węgierskich. Około 400.000 osób skierowano w śledniu transportach do komór gazowych Oświęcimia. W sumie liczba ofiar ludności żydowskiej na Węgrzech wynosiła w wyniku tej akcji 618.000 osób. Był to szczytowy punkt zbrodniczej kariery Krumei w służbie III Rzeszy.

Jedną z najciemniejszych kart



Herman Krumei

Telegram Krumei do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy — Referatu Eichmanna w sprawie przybyłych do Łodzi dzieci czeskich z Lidic.

działalności Krumei była sprawa dzieci czeskich z Lidic i Leżak — osad czeskich zniszczonych przez hitlerowców w odwet za zamach na Heydricha. 13 czerwca 1942 r. przybyło do Łodzi 88 dzieci czeskich z Lidic osieroconych przez hitlerowców wskutek wymordowania ich rodziców. Dzieci te umieszczono w obozie UWZ przy ul. Żeligowskiego 41. Krumei niezwłocznie zawiadomił o tym fakcie Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) sugerując, że w grę wchodzi sprawa specjalnego „potraktowania”. Sonderbehandlung. Kryptonim ten oznaczał w nomenklaturze SS i policji bezpieczeństwa wyrok śmierci bez sądu. Szybko otrzymał zgodę RSHA na te zbrodnie i 81 dzieci lidickich, w tej liczbie 5 jednorocznych niemowląt powędrowało do komór gazowych obozu śmierci w Chełmnie n/Nerem. Los dzieci lidickich podzieliło 11 dzieci z osady Leżaki, przywiezionych do wspomnianego obozu UWZ 7 lipca i zamordowanych w Chełmnie 25 lipca 1942 r.

Ciezar popełnionych zbrodni wojennych nie przeszkodził jednak Krumeiowi, po upadku III Rzeszy, prowadzić życia dobrze sytuowanego materialnie i szanowanego obywatela Niemiec zachodnich. 12.000 marek „odszkodowania” za „straty wojenne” umożliwiło mu założenie dobrze prosperującej drogerii w Korbach. Nie próbował się zresztą ukrywać i nie zrezygnował bynajmniej z działalności politycznej,

która prowadził w ziomkostwie sudeckim oraz w partii przesiedleńców. Jako szanowany obywatel został wybrany posłem do Landtagu heskiego i przewodniczącym zarządu okręgowego ziomkostwa sudeckiego. Przez 18 lat po wojnie pędził Krumei nitycz nie zakłócając życia dobrego obywatela NRF, dopiero poszukiwania władz czechosłowackich sprawców zbrodni na dzieciach z Lidic i Leżak, informacje, akt urzędu gestapo w Łodzi oraz doniesienia austriackiej policji kryminalnej sprawiły, że zainteresowano się jego działalnością wojenną. Aresztowany 16 września 1958 r. został w rok później uniewinniony wyrokiem sądu karnego we Frankfurcie, który uwierzył równie kłamliwym, jak i najwymyślniejszym opowiadaniom Krumei, że on, wyższy oficer SS i policji bezpieczeństwa, nie znał i nie rozumiał właściwego znaczenia kryptonimu „Sonderbehandlung”, użytego przez niego w telegramie do RSHA. Dopiero sprawa A. Eichmanna zwróciła uwagę opinii publicznej na osoby jego współpracowników. Jednym z pierwszych następstw tej afery była decyzja powtórnego aresztowania głównego współwinika zbrodni Eichmanna — H. Krumei. Nastąpiło to 25 maja 1960 r. lecz dopiero teraz Krumei stanął ponownie przed sądem. Akt oskarżenia zarzuca mu obecnie tylko zbrodnie na Węgrzech w 1944 r., pomijając zupełnie zbrodniczą działalność na ziemiach polskich.

POLONICA

PISARZ I MORALNOŚĆ

W końcu czerwca odbędzie się w Łodzi (Finlandia) międzynarodowe spotkanie pisarzy, organizowane w ramach tzw. wschodnio-zachodnich rozmów europejskich. Seminarium tegoroczne odbywać się będzie pod znakiem debaty na temat „Pisarz i moralność”. Weźmie w nim udział ponad stu pisarzy z wielu krajów. Z Polski zaproszono m. in. Sławomira Mrożka.

WYSTAWA TKANIN I MAKAT

Dziennik „Die Andere Zeitung” (Hamburg) z 4 czerwca br. zamieszcza artykuł pt. „Pracht und Perfektion. Moderne polnische Tapiserie im Kunsthaus Hamburg” (Przepych i perfekcja. Nowoczesne polskie tkaniny w Domu Sztuki w Hamburgu). Autor artykułu, Peter Daniel, stwierdza po prostu: „Ta wystawa w hamburskim Domu Sztuki jest objawieniem”. Na

MROŻEK NA EKRANIE TELEWIZYJNYM

Tzw. południowo-zachodnia telewizja NRF pokazała film fotograficzny przedstawienia sztuki Sławomira Mrożka „Mieczystwo Piotra O'Heya” w reżyserii Piotra Lihtenhalera. Recenzent „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (25 maja 1964) wysoko ocenia prezentację Mrożka, ale zwraca uwagę na pod adresem autora i reżysera pytanie, o co

w tej sztuce chodzi. I kończy swoje rozważania uwagą: „Gdy się gra takie sztuki, trzeba wiedzieć, dlaczego się gra i odstąpić i ukazać nam, widzom, owe ważne powody. Dla odkrycia sytuacji w sztuce Mrożka nie dano widzowi żadnego klucza do ręki”.

KSIĄŻKA PROF. ROSSETA PO ANGIELSKU

Znana polskim czytelnikom fundamentalna praca prof. Edwarda Rosseta „Proces starzenia się ludzkości”, ukazała się obecnie w przekładzie na język angielski. Książkę wydały dwa wydawnictwa: Pergamon Press (Anglia) i The Macmillan Company (Ameryka), jednakże

przełożona i wydrukowana została ta praca w Polsce, staraniem Ars Polona. Warto dodać, że wcześniej w tym samym wydawnictwie Pergamon Press ukazała się książka prof. Oskara Lange „Political Economy” (Ekonomia polityczna).

„MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW”

Dziennik „Deutsche Volkszeitung” z dnia 5 czerwca br. ukazujący się w Düsseldorfie, drukuje obszerną recen-

zję z filmu „Matka Joanna od Aniołów”, który właśnie po trzech latach od daty powstania pojawił się na ekranach kin NRF. Autor recenzji, Rolf Traube, przypomina, że film ten, nagrodzony w Cannes, w Polsce, w Holandii i w Niemczech, w pełni sobie na to zasłużył. Rolf Traube pisze: „Czy to jest film antyreligijny? Nie! W żadnym wypadku nie rani on uczuć religijnych ludzi wierzących. Jest to prawdziwie humanistyczne dzieło sztuki — w duchu Diderota”.

POLONICA

CIERPLIWOŚĆ I OPTYZMIZM

Dalszy ciąg ze str. 1

wych placówek artystycznych to jedna strona zagadnienia. Jak należałoby natomiast ocenić wysiłki zmierzające do upowszechnienia wiedzy i sztuki wśród najszerzych rzesz społeczeństwa Łodzi?

— Wydaje mi się, że sam proces upowszechniania wartości, o których wyżej mowa, jest u nas w Łodzi zjawiskiem bardzo interesującym i godnym szerszego omówienia. Co jakiś czas zresztą wybuchają w Łodzi mniej lub bardziej zażarte dyskusje na ten temat.

Można jednak zaryzykować twierdzenie, że różnorodność środków i form przekazywania wiedzy, system organizacyjny tej pracy są na wysokim poziomie. Oczywiście znajdzie się wielu ludzi, którzy będą twierdzić coś wręcz przeciwnego. To będą ci najbardziej niecierpliwi, którym się wydaje, że można w krótkim czasie dokonać rzeczy tak trudnej, jak podniesienie poziomu kulturalnego mieszkańców wielkiego miasta.

— Wchodzimy tutaj w granice sporu o metody działania.

— Nie tylko sporu o metodę, także o zasadniczą chyba ocenę tego co się robiło i robić zamierza. Mam wrażenie, że Łódź jest na najlepszej drodze rozwoju kulturalnego. Jak to się popularnie mówi: w tej dziedzinie nie na siłę nie da się zrobić. Zostały stworzone obiektywne warunki rozwoju, o których — wycinkowo tylko — mówiliśmy przed chwilą, teraz tylko rzecz nas wszystkich jest, aby je w pełni wykorzystać. Musimy jednak zrozumieć, że drugim niesłychanie ważnym elementem jest po prostu czas. Jak już wspominałem, procesy przemian kulturowych są przecież długotrwałe.

— Przelóżmy to na konkrety...

— Dam banalny przykład. Z każdym rokiem roszęra się liczba ludzi z wyższym wykształceniem. Powszechność nauczania, wytrwała praca nauczycieli w szkołach pod stawowych, zawodowych, średnich czy technicznych, oddziaływanie na młodzież poprzez pracę kulturalną organizacji społecznych i młodzieżowych, cała atmosfera wokół spraw kultury jaką wytworzono w mieście i w ogóle w kraju musi z czasem wydać owoce.

— Wobec tego czy należy uznać za nieostrowne pytanie: co robić dalej?

— Można się chyba zgodzić, że tak postawione pytanie ma w swoim podtekście stwierdzenie swego rodzaju stabilizacji, osiągnięcia już pewnego stanu rozwoju, wy magającego nowych przemyśleń czy zmian. Mnie się natomiast zdaje, że jesteśmy na drodze młodości, dopiero się rozwijamy. Musimy sobie zdawać sprawę z atrybutów naszej młodości. To chyba może pójść we właściwej ocenie sytuacji.

— W dyskusjach na temat łódzkiej kultury niemal zawsze dochodzi się do problemu chyba najistotniejszego, mającego najgłębszy sens ideowy i społeczny. Problemem tym jest kształtowanie poziomu kulturalnego klasy robotniczej.

— Na tę sprawę można patrzeć bardzo różnie. Inaczej przecież problem kultury klasy robotniczej wygląda w odniesieniu do pokolenia starszego, ukształtowanego — powiedzmy — w okresie międzywojennym, które wyniosło z tamtej epoki określone — uwarunkowane ówczesną sytuacją

społeczną robotnika — nawyki w tej dziedzinie i swój określony pogląd na świat. Nie miejsce tutaj na ocenę i analizę, choć z punktu teoretycznego byłoby to bardzo ciekawe, tej strony świadomości klasy robotniczej.

Dla nas najważniejsze chyba jest teraz w jaki sposób ukształtujemy oblicze kulturalne młodzieży robotniczej. Truizmem będzie stwierdzenie, że punkt wyjścia jest tutaj zupełnie inny, że decyduje o nim nasz socjalistyczny ustrój. Mimo wszystko w tej dziedzinie odczuwa się chyba pewien niedosyt działania. Dlatego też wielką wagę przywiązujemy do współdziałania organizacji młodzieżowych środowiska akademickiego i środowiska robotniczego.

— Jakie nasuwają się tu uwagi praktyczne?

— Przede wszystkim trzeba właściwie widzieć ewentualny dystans dzielący inteligencję od klasy robotniczej. Dzisiejsza młodzież robotnicza ma coraz wyższe wykształcenie, często posiada wysokie kwalifikacje zawodowe i właściwie, jeśli można mówić w sposób zdecydowany o owym dystansie, to często sprawa sprowadza się do dysproporcji w dziedzinie kultury humanistycznej.

— Zrozumienie tej kwestii niewątpliwie może ułatwić zadanie tym przedstawicielom młodzieży akademickiej, którzy będą popularyzować wśród swych kolegów pracujących pewne dziedziny wiedzy czy sztuki.

— Oczywiście, pod warunkiem, że wśród „popularyzatorów” znajdą się ludzie obdarzeni zarówno talentem pedagogicznym, jak i umiejętnością nawiązywania kontaktów z innym środowiskiem. Może dobrze by było wykorzystać tutaj młodzież studiującą, która sama pochodzi ze środowisk robotniczych. Tak czy inaczej najważniejszą sprawą będzie zrealizowanie porozumienia o współdziałaniu środowiska akademickiego z młodzieżą robotniczą, zawartego między odnośnymi organizacjami.

— Można chyba wysnuć wniosek, że sam fakt występowania tego rodzaju problematyki w życiu społecznym Łodzi, mówi również bardzo wiele o awansie kulturalnym miasta.

— Tak właśnie jest, stąd się wywodzi nuta optymizmu, która pobrzmiewała w czasie tej całej rozmowy.

Rozmawiał: H. P.



„Uliczka.”

Benon Liberski

Cześć dla Atwatki

Kiedy schylamy czoła przed zasługami współczesnych pedagogów, to w czasie owego pochylecia czoła myślimy sobie, że ładnie by czcigodny pedagog wyglądał, gdy by jemu samemu nie ułatwiono ukończenia studiów, gdyby nie stworzono warunków nauki — dzieciom, które pedagog uczy, gdyby nie wydrukowano podręczników i nie wybudowano kwiatków, które pedagog dostaje w dni osobistych i zawodowych świąt.

A przecież byli tacy, wobec których nie spełniono warunków powyższych, o których zapomniano i których trudno mi będzie kreować na bohaterów, choć felieton niniejszy stanowi próbę pobrażowania.

Nazywał się Andrzej Atwatka. Naukę pobierał u ojca — organisty gdzieś pod Łęczycą, pewnie jego poglądy ukształtował kłóś dobrodziej, a nadmiar gęb do młotki spowodował, że Andrzej Atwatka opuścił wieś rodzinną i zawił się w Łodzi w roku 1808 jako bakałarz, w szkółce obok gospody przy placu kościelnym. Pobierał 10 talarów gotówką i tyleż ordynarii. Szkółkę zaś prowadził osobiście: zapisano do niej 36 dzieci, ale lekcje odbywały się wtedy tylko, jeśli dzieci przyszły. W przeciwnym wypadku nauczyciel szedł do gospody i pił piwo.

Nosił wysoki, przewiązany halsztukiem kołnierzyk, fraszek ze śladami nie tylko powiatowych uroczystości, ale również ze śladami słot i spiekot, jakim Bóg darzył tę stronę w ciągu lat ostatnich. Siedzenie zaś tabaczkowych spodni wzmocnił płóciennymi latami, które — kiedy szedł — migaly między połamami zrudziałego fraszka. Nosił też leszczynowy kijek, którym machinalnie ścinał pokrzywy przy zgiętej drodze, a który niewątpliwie odgrywał swoją rolę w procesie edukacji pierwszych oświeconych łódzian.

Czy tak wyglądał postać bohatera? — Oczywiście nie!

A przecież Andrzej Atwatka był w 1838 roku jedynym nauczycielem łódzkim i należał mu się trochę czci zarówno za to, że był pierwszym, jak i za wysługę lat na pewno nie uwzględnioną przez władze Królestwa Kongresowego. Ze postać ta zaginęła w omrocie tak niedawnych dziejów, że nie można jej odzistać we wspomniane szaty, jest to wina — po pierwsze biskupów kujawskich, po drugie — łódzkich miasteczkowych tyków z roku 1808 i lat późniejszych, a po trzecie — szacownych skądinąd Zajączków, Łubeckich, Potockich, Rembielińskich i innych aktywistów Królestwa Kongresowego. Biskupi kujawscy, dawni właściciele Łodzi, uważali, że drewniany kościółek na wzgórzu jest wystarczającym źródłem oświaty dla rolniczego miasteczka. Właściciele gospodarstw przy Zgierskiej, Polskiej, Drownowskiej i Starej Wsi głosili pogląd, że oni się w szkole nie uczyli, więc ich dzieci po trafiały żytko ślać bez wycierania portek na szkolnej ławie. Wreszcie organizatorzy Łódzi przemysłowej pamiętali, redagując zarządzenia rządowe, o wielu rzeczach: o placu na kościół, o domu dla pastora, o lokalu dla apteki, o domu dla doktora, o ogrodzie spacerowym, o placu dla towarzystwa strzeleckiego — ale o potrzebie szkoły żadne z wydanych przed 1833 rokiem zarządzeń nie wspominało.

Zajączków, Łubeckich, Rembielińskich malowano olejno z orderami na piersiach. Andrzej Atwatka nie widział na oczy własnego konterfektu. A przecież chciałoby się zdjąć

trochę brązu z tamtych wielkości i powlec nim postać zapomnianego nauczyciela. Bron Boże, nie stawiajcie mu pomnika! Bo nie ma Łódź szczęścia do wielkich dzieł w tej dziedzinie. Nawet wiem, jakby wyglądał taki pomnik. Tkwiłby Atwatka w grupie dzieci i ruchem milicjanta stojącego na skrzyżowaniu pokazywałby dzieciom świątlaną przyszłość. Ale na ulicę można by się zdobyć.

W roku 1838 powstały 3 szkoły rzemieślnicze, niedzielné, a w 1843 — pierwsza 4-klasowa „rusko-niemiecka” powiatowa szkoła realna, w której uczono języków: polskiego, niemieckiego i rosyjskiego, arytmetyki, historii naturalnej, rysunków i kaligrafii. Z czasów tych zachowały się nazwiska nauczycieli — Polaków: Ostrowski, Rosłowicz, Piotr Zająć, Kusiłowicz i Bączkowski. Jedną z wybitniejszych postaci był nauczyciel Rybka, który w roku 1865 redagował polską część pierwszej łódzkiej gazety, zatytułowanej: „Łódzkie Anzeiger — Ogłoszenia Łódzkie”.

W roku 1886 istniały w Łodzi następujące szkoły: „wyższa” Rzemieślnicza, filologiczna J. Meyera, realna Graczyka, „wyższa pensja” Teofil Smidit oraz dwuklasowa pensja C. Waszczyńskiej. Ta ostatnia przetrwała jako gimnazjum aż do roku 1939.

Jeśli wspomnieliśmy tu o leszczynowym kijku Andrzeja Atwatki, to — jak wiadomo — kijek taki, jako narzędzie pewnego systemu wychowawczego był wówczas w modzie. Nierzadko słychać jednak było o nadużywaniu kar cielesnych, graniczącym ze znęcaniem się na uczniach.

Głośna była w owych latach sprawa niejakiego Włodzimierza Wolnickiego, którego w 1885 roku sądzono za znęcanie się nad dziećmi. Prowadził on specjalną stancję dla dzieci, z którymi rodzice nie mogli sobie dać rady. W jego gabinecie były również ławki z kajdankami, kółka przymocowane do podłogi — do przywiązywania dzieci, kiedy sam wychodził z domu. Urządził też karcer o chlebie i wodzie, który znał komie obniżał wydatki na utrzymanie. W sądzie i instancji prokuratorskiej domagał się dla Wolnickiego zesłania na Syberię na zasadzie art. 1489 k.k. Sąd jednak ukarał go łagodniej. Sprawa znalazła się w instancji odwoławczej: w senacie. Obrona Wolnickiego dowodziła, że przecież rodzice dzieci wiedzieli o metodach stosowanych przez „pedagoga”, a oni decydują o losie dzieci. Senat jednak, stojąc na stanowisku, że władza rodziców też jest ograniczona, polecił sprawę przełożyć ponownie. Wbrew jednak intencji senatu, Wolnickiego uniewinniono.

Pierwsze gimnazjum powstało w Łodzi w roku 1886 — jednakże do własnego gmachu — obok parku Sienkiewicza — przeniosło się dopiero w r. 1891.

Nie można tu pominąć roku 1905-6, kiedy język polski stał się w szkołach językiem wykładowym, kiedy powstały takie szkoły jak „Uczelnia” (późniejsza im. Kopernika), jak Handlowa na Długiej (Gdańskiej) i Zimowskiego na Gubernatorskiej.

Następny rozdział to międzywojenne dwudziestolecie z Wolną Wszelchnią i następny to dwudziestolecie powojenne z wyższymi uczelniami i instytutami naukowymi.

Ale zaczęło się to od Andrzeja Atwatki.

JERZY URBANKIEWICZ

ŁÓDZKIE XX-LECIE

HALA SPORTOWA

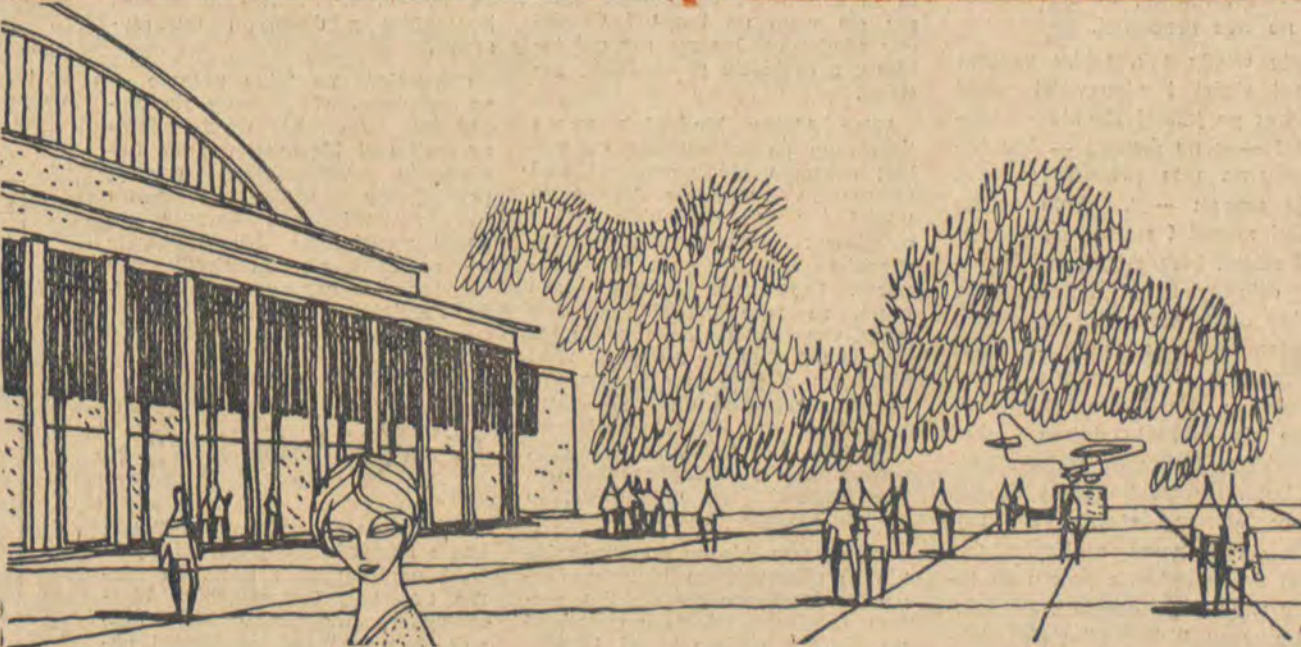
MYŚL: Nie myślano przed wojną o stworzeniu tysiącom robotników miejsca gdzie mogłyby działać kluby sportowe, gdzie można by oglądać imprezy sportowe. Ta myśl powstała dopiero w połowie lat pięćdziesiątych.

DANE: Hala Sportowa oddana do użytku w 1958 roku. Ma 10 tysięcy miejsc. Posiada hotel na 120 łóżek, sale treningowe, jedyne w kraju kryte lodowisko oraz przestronny hall — miejsce wielu wystaw.

ANALOGIE: W roku 1955 na jednego mieszkańca Łodzi przypadało około 0,5 m² powierzchni urządzeń sportowych. Łączna powierzchnia tych urządzeń wynosiła wówczas 32 hektary. W latach 1956—60 obszar ten zwiększył się do 77 hektarów co dało ponad 1 m² powierzchni urządzeń na jednego mieszkańca. Do roku 1965 na jednego łódzianina przypadać będzie 2,5 m² powierzchni urządzeń sportowych.

PROJEKTANCI: inż. Kamil Lisowski i prof. S. Prohaska.

rysował inż. arch. Jan Michalewicz



BUNTOWNIK

Dalszy ciąg ze str. 1

Tamci nie zapomnieli mu tego, i dziś, 24 kwietnia, jego imię i nazwisko figuruje na czele listy zwolnionych z huty. Aleksy spodziewał się tego zwolnienia, nie dziś to jutro i nie bardzo się nim przejmował. Jest młody, nie zna upokarzającego lęku o los własnej rodziny. Poradzi sobie — świat stoi przed nim otworem. Tak wówczas myślał.

W gabinecie zarządzającego hutą, p. Hugona Pisarskiego jest mroczno i dostojnie: ciężkie biurko, rzeźbione boazerie, kotary z pluszu. Mówi się tu głosem przyciszonym, taki zwyczaj. Ale oto przed biurkiem stoi ten zawadliwy, młody Kudyniuk. Nie dziwnego, że p. Hugon Pisarski trzyma rękę w wysuniętej nieznacznie szufladzie: czy to wiadomo czego się po Kudyniuku spodziewać? Cała ta ich familia zbuntowana, a ten młokos najgorszy.

Należy mi się 14 dni zwolnienia, mówi Aleksy, i p. Pisarski robi się od razu czerwony ze złości. Należy mi się wypowiedzenie w terminie 14-dniowym, powtarza Aleksy. Twoje wypowiedzenie wisi na tablicy w portierni, i wynos się, rozkazuje p. Pisarski. Należy mi się — powtarza Aleksy. To się okaże — mówi pan Pisarski: zarządca cierpi na uderzenia krwi do głowy, lekarze zabraniają mu się unosić, ale jak tu zachować spokój? Pan Pisarski już nie panuje nad sobą, już krzyczy. Należy ci się? Proszę, rządzić ci się tu zabiegowa. Myślisz, że huta jest ważna, co?

Właśnie w tej chwili w drzwiach do gabinetu staje kasjer Piątkowski, słyszy podniesiony głos zarządcy i zaraz potem prawie wesołą odpowiedź młodego Kudyniuka.

— Wcale nie myślę, żeby było inaczej.

— Co? — krzyczy pan Pisarski.

— Co takiego?

Kudyniuk szczerzy zęby jak młody wilczek, nachyla się przez biurko. Pan Pisarski bije pięścią w blat, aż brzęczy szkło:

— Powyrzucam i ojca i braci.

Pan kasjer czeka z napięciem: co się teraz stanie?

Pan Pisarski grzebie w szufladzie, szuka tam czegoś. Ale Kudyniuk wie o pistolecie i nie da się sprowokować. Rzuca tylko zarządcy:

— Jak zwolnisz, to nie będzie mi na pracować.

Było wtedy tak, jakby zawarli w tej złości i nienawiści jakąś umowę: po jednej stronie — Wy rzucę! — a po drugiej — Nie będziem na was pracować! — A może nawet: — Ta huta będzie kiedyś nasza! I starali się dotrzymać słowa. Pisarski wyrzucił wtedy całą rodzinę Kudyniuków, Aleksy dzięki temu stał się obywatelstwem, znał go huty w Łodzi i Krośnie, Jaśle, Opocznie i Inowrocławiu. Z wilczym biletem nigdzie nie zagrażał miejsca i choć na takiego fachowca czekała każda huta, zawsze kończyło się tak samo: wkrótce zjawiał się tajemnik, wypytawał o Kudyniuka, szedł do zarządcy, a potem na tablicy wisiało ogłoszenie o zwolnieniu z pracy. Wilczy bilet dla Aleksa Kudyniuka, tego buntownika, członka KZM-u i KPP. Tego nie-

poprawnego buntownika. Tak minęło kilkanaście lat, które historycy zwykli nazywać „drugą niepodległością”.

7 stycznia 1942 r.

Ten na pozór zwykły, okupacyjny dzień zapowiadał Aleksemu Kudyniukowi ciężkie kłopoty. A wszystkich przez kapusiaka. W hucie szkła „Feniks”, komisarz Reichhof zaprowadzał nowy ład:



podobny do tego, który rządził już całą Europą od Atlantyku po Moskwę, od Szpitzbergu po Kretę. Pan komisarz Reichhof zastrzelił rygor w hucie, bo Piotrków był zawsze niespokojnym gniazdem, a szklarze od dawna uchodzili za czerwonych. Więc trzeba ich było trzymać krótko, chwycić za gardło i przydusić. Takie poglądy głosił pan komisarz Reichhof.

7 stycznia w przerwie obiadowej doszła go wieść, że robotnicy urządzili coś co wyglądało na próbę buntu. Przyprowadźcie mi tu tego Kudyniuka — zarządził pan komisarz — ja z nim pogadam. Co to za awantury, Kudyniuk? Spiesz się wam do kaceru? Oświećcie niedaleko. Jeszcze raz coś takiego, a osobiście powiadomię gestapo.

Więc Aleksy Kudyniuk wraca tego dnia po robocie zły na siebie: dlaczego nie zapanował nad nerwami? W stołowie Aleksy się uniósł i wylał do kubła porcję obiadową: talerz wodnistej zupy, przekłety wywar z pokrzywy i kapusty. Czym nas karmią! Inni poszli za jego przykładem. Ale teraz, wracając do domu złość już minęła i Aleksy się niepokoił: właściwie jemu, z jego przeszłością, nie wolno ryzykować dla byle głupstwa. Skończyło się tym razem na groźbach, bo Reichhof wie jak trudno jest o fachowca hutnika. Ale przecież jeśli ryzykować, to nie dla takiego głupstwa.

Wieczorem Aleksy opowiada żonie tę niepotrzebną historię. Siedzą w kuchence na drugim piętrze familiaka. Nagle na korytarzu słychać ciężkie kroki. Chwila napięcia, potem ktoś puka do drzwi Kudyniuków.

Ale to nie gestapo. Do izby wchodzi trzech mężczyzn, wnosząc z sobą powiew mroźnej nocy. Jeden z nich kuleje, nie może stać, ciężko opada na krzesło. Tu mieszka Aleksy Kudyniuk? No to my się znamy — mówi ten, który wszedł pierwszy — przypominasz mi siebie?

Dopiero teraz Aleksy i jego żona poznają Feliksa Paplińskiego, starego piotrkowianina: ileż to lat go nie widzieli? Feliks nachyla się nad swym towarzyszem, ogląda jego nogę. Złamana — mówi — pomożecie nam? Skakaliśmy z samolotu — tak właśnie mówi Fe-

liczyl się i nabierał sił. Tu, na działce, w gestych malinach, zakopywał Aleksy nie raz i broń i pocztę.

W sierpniu przyszła wielka wyspa, nieoczekiwana klęska zasadzki w Tomaszowie, śmierć Franka i tylu bojowców. I fala aresztowań. Ich pierścień zaciskał się wokół familiaków, Aleksy czuł jak ziemia zaczyna się mu palić pod stopami.

16 września nastąpiły nowe aresztowania i Aleksy uważnie się przyjrzał, jakim tropem szło gestapo: chodźło pewnymi śladami, wprost do celu: ktoś sypał. Nie można było dłużej zwlekać.

Przyszła niespokojna noc i do świtu Aleksy naradzał się z żoną: nad ranem postanowili, że uciekną dziś po wypłacie, zdobywszy na mieście trochę pieniędzy. Ale stało się inaczej: o wrześniowym, zamglonym brzasku w uliczkę zajechały samochody. Ich warkot, a potem tupot podkutych butów, i huk wywalonych drzwi na dole, powiedział Kudyniukom co się święci. Aleksy skoczył do okna i ujrzał kordon okrążający familiaki, zamykający wszystkie dojścia. W chwilę później czyjaś pięść już tukała w drzwi. Tu mieszka Kudyniuk? A wy to jego żona? Zbierać się, tak, oboje.

To było jak śmierć, a na śmierć był przecież Aleksy przygotowany. W mordowni piotrkowskiego gestapo — słynnego na całą GG — Kudyniuk przetrzymał śledztwo: człowiek jak chce, to wszystko wytrzyma. Odbili mu pięty, nerki, pluł krwią, szczuli psem i po dziś zostały na policzku głębokie blizny od kłów gestapowskiego wilczura. Jak człowiek chce, to wszystko przetrzyma.

Potem był Oświęcim i w pamięci najmocniej utrwalił się jeden fragment krajobrazu śmierci: uliczka między blokami, wysypana żużlem, zawsze lepkiem od krwi. Potem był Gusen, wagony-dusze-gubki, masowe egzekucje. Śmierć przyjałby Aleksy bez zdziwienia: ile razy brała go we władanie? Nie bałem się śmierci — mówi — przecież i ona dla ludzi.

Po powrocie, w odmłodzonym Piotrkowie, życie wydawało się Wielką Wygraną. Wrócił z Oranienburga i żona. Aleksy mówi — los nam sprzyjał. A brzmi to jak odwieczna sentencja, jakże rzadko potwierdzana przez życie: Audaces fortuna juvat.

I tak oto zamyka się krąg: lata tułaczki, lata nierównej walki minęły. Jesienią roku 1945 spotyka Aleksa pan kasjer Piątkowski. Któż jeszcze wspomina w hucie zarządcę Hugona Pisarskiego? Zmieniły się czasy. Czyja jest teraz huta? Pan kasjer pamięta pewną scenę sprzed lat dwudziestu. Jak to pan, panie Kudyniuk przepowiedział? Pisarski krzychał — myślisz, że huta jest ważna — a pan mu na to: — wcale nie myślę, że będzie inaczej. Prorocze słowa, panie Kudyniuk, prorocze słowa.

Huczy syrena z „Hortensji”. Co się stało z tym szwabem Hugonem Pisarskim? Na czyje wyszło? Wspomnienia wracają natrętnie, uporczywie. Aleksy skończył robotę na działce, czas już wracać do domu, jeszcze tylko chwilę w cieniu, z wspomnieniami: miałem wszystko, myślał Aleksy, patrząc na swe życie, tak, jak się patrzy o zachodzie słońca na nizinny, sięgający horyzontu krajobraz. Miałem wszystko — myślał Aleksy — miałem miłość i nienawiść. Cieszyłem się, i było mi źle. Szczuli mnie, i zwyciężyłem. Miałem wszystko.

WACŁAW BILIŃSKI

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO
O REPERTUARZE
TEATROW
ŁÓDZKICH

O „ODGŁOSACH”.
a list Twój weźmie udział
w losowaniu nagród książ-
kowych. Najciekawsze wypo-
wiedzi opublikujemy na ta-
mach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY”

ŁÓDZIANIE Podróżują

EDYTA KUBICKA

— Czy to prawda, że w czasie pobytu w Maroku dwa razy bardzo się Pani zdziwiła?

— Maroko było pierwszym krajem afrykańskim, jaki widziałam — i dlatego dosłownie „chłonęłam” wszystkie rzeczy dziwne i ciekawe. A zdziwiłam się bardzo, rzeczywiście, dokładnie dwa razy.

— Proszę opowiedzieć.

— Najpierw zawieźli mnie do Rabatu, siedziby władz Maroka, miasta niewielkiego i nieciekawego. Potem zobaczyłam Fez — czyli całą esencję romantyzmu: starożytne miasto w dolinie otoczonej murami, wąskie uliczki, fontanny, minarety, meczety, Fez — stolicę intelektualistów Maroka. Ostatnim miastem miała być Casablanca — czyli Nowy Jork Maroka. Przyjechałam, zobaczyłam i zdziwiłam się po raz pierwszy. Casablanca nie przypomina absolutnie w niczym słynnego, głośnego na całym świecie filmu pt. „Casablanca”. Mówiąc nawiasem wyświetlanie tego filmu było i jest w Casablance surowo zabronione. Casablanca ma tyle mniej więcej mieszkań-ców co Łódź. Francuzi stanowią jedną trzecią ludności. Miasto „ulokowało się” nad Atlantykiem i wyglądem przypomina najsłynniejsze na świecie, ekskluzywne miejscowości wypoczynku i zbytku. Domy w Casablance to błyszczące w słońcu białe marmury, ogromna ilość szkła i lekkiego metalu. Duże, najsmielsze architektoniczne balkony, wydaje się zawieszane są nad oceanem. Lokale restauracyjne i różnykowe w niczym nie ustępują najsłynniejszym europejskim. Podobno niektóre są po prostu filiami lokali paryskich. Casablanca jest miastem handlowym. Handluje się dosłownie wszystkim. Wśród miejscowych bogaczy spotyka się zarówno takich, którzy zrobili majątek importując atrakcyjne towary z Europy (między innymi z Polski) jak i takich, którzy „kupowali” na jakiś czas marokańskie, wiejskie dziewczęta dając im niewielkie pensyjki za uprawianie najstarszego, jak się potocznie mówi, zawodu świata. Cały przepych i ośnienie w centrum miasta urywa się na jego peryferiach. Tam w parterowych domkach z wyklepanych blaszanych puszek po zagranicznych konserwach mieszka biedota.

— A drugie zdziwienie?

— Tu muszę sięgnąć do pewnego wydarzenia sprzed siedmiu laty. Załatwiałam akurat w Paryżu jakieś sprawy naszego eksportu, i pewnego wieczoru w jednym z wirtuoznych lokali musiałam zjeść kolację z francuskim przemysłowcem. Moją uwagę zwrócił wtedy niezwykle przystojny, piękny, młody mężczyzna w towarzystwie starszego, dystygowanego pana. I teraz proszę sobie wyobrazić scenę następującą: tysiące ludzi w Rabacie stoi wokół meczetu i najwyraźniej kogoś oczekuje. Wreszcie zjawia się następca proroka — Jego Królewska Wysokość Hassan II w otoczeniu dworu królewskiego, armii i ministrów. Stapa wolno, jak na króla przystało, twarz ma opuszczona ku dołowi, jest skupiony przed modlitwą. I nagle, na ulamek sekundy, podnosi głowę. Tak, poznałabym go nawet na końcu świata. To ten sam piękny mężczyzna, na którego przed siedmiu laty zwróciłam uwagę w paryskiej restauracji.

Rozmawiała: H. B.

TAJEMNICE SKRADZIONYCH OBRAZÓW

W noc sylwestrową 1909 roku nieznanymi sprawcy skradli samochód na ul. Toulon, w Paryżu. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, iż znajdowało się w nim kilka obrazów, wartości ok. 700 tys. franków, które złoczyńcy zostawili na ulicy, a zabrali wóz. Cóż za brak smaku...

Przed kradzieżą nie chronią dzieł sztuki ani żaluzje, ani dzwonki alarmowe, ani psy, kradnie się w muzeach, w kościołach, w domach prywatnych, wszędzie. Obrabowanie kolekcji Złotego Golebia w Saint-Paul-de-Vence, kradzież obrazów Cezanne'a w Aix-en-Provence, w Muzeum w Saint-Tropez, w National Gallery w Londynie („Książę Wellington” — Goya), w Galerii Lefevre'a i O'Hara również w Londynie i ostatnio — grabież płótna Rubensa w Królewskim Muzeum w Brukseli, zniknięcie obrazów z Muzeum w Mediolanie oraz z Muzeum Galliera w Paryżu — oto najbardziej sensacyjne kradzieże dzieł sztuki ostatnich lat.

Niemal we wszystkich wypadkach, te znakomite płótna odnaleziono w okolicznościach godnych pióra Conana Doyle'a: w pozostawionym na ulicy samochodzie, w odosobnionej stodole, w kabinie telefonicznej, w przechowalni kolejowej, w zamurowanym magazynie... Zawsze powiadamiano o tym policję, anonimowo — listownie lub telefonicznie. Do dziś dnia, w ani jednym wypadku nie wykryto tajemniczych informatorów.

Nie da się ściśle ustalić, ile ukradziono obrazów. Szacuje się jedynie, iż w przeciągu ostatnich 3-4 lat ogólna wartość zrabowanych płócien waha się w granicach 20-80 milionów franków! Częstotliwość tych kradzieży, jak również nieprawdopodobna wprost pomysłowość złodziei dzieł sztuki zmusiły Międzynarodową Radę Muzeów do szukania opieki Interpolu.

Gdy pewnego dnia policja po otrzymaniu anonimowej informacji odkryła w pewnym zniszczonym baraku w londyńskich dokach, wprost bezcenny skarb sztuki, skradziony w Galerii O'Hara, zatrzymała tam również dwóch paserów. Jednak i oni w toku śledztwa nie mogli naprowadzić policji na ślad zakonspirowanych informatorów.

Poszkodowani są również mało gadatliwi, jak i rabusie, Zachowanie dyskrekcji i zapewnienie bezkarności są bowiem warunkami zwrotu skradzionych przedmiotów sztuki, oczywiście za okupem, podobnie jak to się dzieje w wypadku kidnapingu. Obrazy są milczącym świadkiem i dlatego, ogólnie rzecz biorąc, wracają do swych prawowitych właścicieli.

„Zawsze, kiedy ktoś odnajdzie skradzione dzieło sztuki — wyjaśnia znany, paryski konserwator obrazów L. Drunet — oznacza to, iż droga za to zapłacić...”

Ta zмова milczenia tworzy najbardziej fantastyczne legendy. Za każdym razem, gdy ginie jakieś dzieło sztuki prasa światowa natychmiast podaje iż jest to jeszcze jedno uderzenie „międzynarodowego gangu zio dzieł obrazów”. Niezmiennie szef gangu przebywa we Włoszech. Barwne opisy przedstawiają go jako Kavaliera Maltańskiego, mieszkającego w Genoi, albo jako amerykańskiego krytyka sztuki, żyjącego w Rzymie i znanego pod pseudonimem „Eddy pedzel”.

Policja francuska, Interpol, konserwatorzy i handlarze dziełami sztuki zgadzają się co do tego, iż istnienie gangów, wyspecjalizowanych w kradzieżach przedmiotów sztuki, należy włożyć między bajki. Złodzieje kradną co im akurat wpadnie pod rękę, często pomijając dzieła cenne dla innych, o mniejszej wartości. Według opinii Interpolu mogą tu wchodzić w grę zwy-



kłe gangi, które okradają zarówno muzea, jak i sklepy, które kradną biżuterię i samochody. Dlaczego więc ostatnio poświęcają tyle uwagi sztuce? Po prostu dlatego, że czytają gazety, które informują, że obraz to przedmiot cenny, i że ukradł obraz — to dobry interes. Tym bardziej iż nie ma kłopotów z szukaniem dokładnego adresu. To o wiele łatwiejsze, niż zawód kieszonkowca. Wystarczy mieć ostrze od zyletki i obszerny płaszcz. Zawodowiec niemiecki, u którego w pokoju policja znalazła komplet narzędzi do włamań oraz przewodnik po Luwrze, czy też domniemany książę rosyjski, który w towarzystwie matki i przyjaciela wizytował dzień w dzień muzeum w Agen, a z pewnego dnia zniknął, a z nim ułotnił się bajecznie piękny autoportret Goi to tylko wyjątki od tej reguły.

Bardzo niebezpieczni — i niestety liczni — są maniacy. Robią więcej szkód, niż złodzieje. Rzucają kamieniami w Giocondę, tną gotyckie oblicza wyrrywają zamek z sekretarzyką Marii Antoniny...

„Obraz rzuca na mnie jakiś czar. Nazwijcie to mistycyzmem...” — tłumaczył się przed sądem pewien student, który kilka lat temu wkroczył się do pracy w Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu i podarł tam płótna Gauguina, Renoira i Bonnard, daremnie usiłując oddzielić je od ram.

Co się dzieje ze skradzionym dziełem sztuki? Wkraczamy tutaj — jak się wyraził jeden z inspektorów Interpolu — na nieznaną obszar.

Historijka o niezmiennie bogatym i tajemniczym kolekcjonerze skradzionych dzieł

sztuki, który w każdej chwili jest gotów je kupić, bez względu na cenę, jest wyssana z palca. Z drugiej strony, nawet ci kupcy i kolekcjonerzy, którzy nazywają tę hipotetyczną postać legendarnym potworem z Loch Ness utrzymują z największą powagą, że istnieje międzynarodowy czarny rynek przedmiotów sztuki. Jedno jest pewne: wyjątkowo trudno sprzedać skradziony obraz, jeżeli jest on dobrze znany. Nawet mało wytrawny kolekcjoner czy kupiec, któremu ktoś oferuje kupno znakomitego dzieła sztuki po cenie niższej od jego nominalnej wartości, pomyśli od razu, iż ma do czynienia albo z wariatem, albo ze złodziejem. Właśnie dlatego, że taka transakcja, dokonana bez zachowania koniecznych w takich wypadkach ostrożności, ściągaa prawo, jako paserstwo. Na przykład we Francji wolno kupić dzieło sztuki wyłącznie za czek, a cała operacja sprzedaży i kupna musi się odbyć w mieszkaniu sprzedawcy. Dlatego to m. in. wybitne egzemplarze dzieł sztuki przeważnie wracają do swych właścicieli.

Trudniej odzyskać mniej znane. Nie wzbudzają tylu podejrzeń i łatwiej je sprzedać. Nie jest też wykluczone, iż przesiłują się one w publicznej sprzedaży, wciskając do galerii i sklepów z antykami po odbyciu nie raz długiej drogi z rąk do rąk, mniej lub więcej prawowitych.

Po każdym takim „etapie” — informuje Interpol — czułość przedmiotu wzrasta...

Kradzieże obiektów mniej cennych są najbardziej liczne, i najczęściej niemożliwe do wykrycia. Trudno je wysledzić, gdyż wygląd samych przedmiotów zacieraa się w pamięci. Często nie można wprost stwierdzić czy święty z drzewa zniknął z jakiegoś wiejskiego kościoła dlatego, że ksiądz go sprzedał w antykwaracie, żeby kupić inną statuetkę, czy też dlatego, że go ukradziono. W ten niedostrzegalny sposób są ogolane każdego dnia muzea, kościoły i gmachy publiczne. Skromny łup najlepiej chroni złodziei. Gdy nabiorą oni więcej smaku, staną się mniej niebezpieczni; można bowiem sprzedać skradzioną wazę, ale nie można sprzedać skradzionego „Renoira”. Co, oczywiście, nie zmienia wcale faktu, iż „Renoir” też ginie.

System kradzieży polega na tym — objaśnia pewien zamożny kolekcjoner, — żeby zrabować możliwie najwięcej obrazów i następnie powiadomić właściciela, iż została ona zniszczona, jeżeli nie zapłaci okupu, zwykle w wysokości 10 proc. wartości. Jeżeli obrazy są ubezpieczone „perfrakcje” odbywają się między towarzystwem ubezpieczeniowym a złodziejami.

W jakiś czas po kradzieży płócien Cezanne'a w Aix-en-Provence, w pewnym dzienniku marsejskim ukazał się anonstwarzystw ubezpieczeniowych, które ofiarując wysoką nagrodę, prosiły o jakąś istotną informację na temat tej kradzieży. Gangsterzy zrozumieli to, jako zaproszenie do rozmów.

Wydawałoby się, iż posiadacze dzieł sztuki pragną się dostać pod opiekę towarzystw ubezpieczeniowych. Nie podobnego. Dlaczego? Oto kolekcjonerzy muszą wybrać: albo ubezpieczyć swe dzieła sztuki poniżej ich wartości realnej, lecz wówczas ewentualna strata nie będzie pokryta, albo ubezpieczyć je w ich wartości nominalnej, co znów jest niewygodne, bo trzeba ujawnić wartość majątku, a ponadto płacić wysoki

wkład ubezpieczeniowy. Więc i tak nie stało się niedobrze.

Tylko mierni kolekcjonerzy przejawiają tendencję do zbyt wysokiego szacowania swoich dzieł sztuki; są dumni, obnosząc się ze swym bogactwem wśród znajomych i przyjaciół.

Jest jeszcze coś, co odręcza od ubezpieczeń: zwraca to od razu uwagę gangsterów na ubezpieczone przedmioty sztuki. Dlatego to złodzieje interesują się szczególnie wystawami czasowymi i objazdowymi, gdyż te, prawie z reguły, są ubezpieczone. Towarzystwa ubezpieczeniowe nie lubią takich wystaw.

Złodziei ośmiela również marazm organów wymiaru sprawiedliwości. Wyroki w sprawach o kradzież obrazów nie są surowe. Złodziei zatrzymuje się rzadko, zatrzymani są rzadko skazywani, a kary ciężkiego więzienia są tylko sporadyczne.

W procesie sprawców kradzieży kolekcji Złotego Golebia, prokurator powiedział m. in.: „kara zbyt łagodna da zieloną drogę wszystkim innym złodziejom obrazów i spowoduje systematyczny rabunek muzeów” i zażądał dla przestępców najwyższego wymiaru kary — siedmiu lat więzienia.

A na to obrońca oskarżonych:

— Włoch, który w roku 1912 ukradł Giocondę został skazany na 18 miesięcy więzienia. Czy można więc dziś żądać siedmiu lat więzienia za kradzież obrazu Picassa, który jest zaledwie przemijającym kaprysem mody?...

Przeszkodził kradzieżom jest niezmiennie trudno. Permanentne udoskonalanie już istniejących systemów alarmowych wskazuje, iż żaden z nich nie zdaje egzaminu. Psy do pilnowania? Podczas kradzieży w Galerii Złotego Golebia był i pies. A jakże! Na rozprawie sądowej złodzieje wyjaśnili sądowi, że pies nie szczekał, gdyż dał mu cukru. Policjant zrobił to samo i... pies zaszczał! Dozorcy? Na ogół wszędzie mieszczą się zajmują inwalidzi wojenni. Są to ludzie uczciwi, ale z ograniczoną sprawnością fizyczną.

Ostatnie słowo wypowie tu chyba elektronika, a w szczególności najnowszy wynalazek: system alarmowy sejsmo-elektronowy, o właściwościach bez precedensu. Ba, ale i tu wyłonił się kłopot nie lada: urządzenia tego aparatu są tak fantastycznie czułe, iż reagują na odległe grzmoty, na zmianę temperatury lub wilgotność powietrza. Mało — również na blask księżyca. Dzwonią tak często i na próżno, że kiedy alarm będzie w pełni uzasadniony — nikt go nie weźmie poważnie...

Jest i odwrotna strona medalu: współczesni rabusie też idą z postępem i umiają sobie radzić z techniką. Nie lubią natomiast halasu i światła, co zresztą nie przeskoczyło im sforsować fasady Pawilonu Vendôme w Aix, skapanego w świetle potężnych reflektorów, i okraść go z cennych eksponatów.

Wszyscy eksperci są zdania, iż najsukuteczniejszym zabezpieczeniem przed kradzieżą jest detaliczna i kompletna inwentaryzacja, do fotograficznej kartoteki wszystkich cennych dzieł sztuki właścicieli. Niestety, liczni, zamożni kolekcjonerzy często nawet nie wiedzą, co mają.

Nie to jest zdumiewające — powiedział konserwator Muzeum Narodowego w Paryżu — że się kradnie dzieła sztuki, ale to, że nie kradnie się ich więcej... (st)

Fraszki Jana Czarnego

WSPÓLNOTA INTERESÓW

*Nieprzychylna dziś dla nas aura,
rzeka pluskwa do minotaura.*

NA NIEJEDNA

*Tytuł do sławy:
intymne sprawy.*

SPEKTAKLE tygodnia			
FILM			
ZACHĘTA — „Wyspa tajemnicza”	...	...	4 640 widzów
TEATR			
NOWY — „Marie Octobre” 6 spektakli	...	...	2 000 — 86%
NOWY, Mała Sala — „Garść plusku” 6 spektakli	...	...	1 000 — 80%
7.15 — „Gość z kosmosu” 4 spektakle	...	...	700 — 44%
POWSZECHNY „Kataki” 1 spektakl	...	...	532 — 80%
„Romeo i Julia” 3 spektakle	...	...	946 — 47%
JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza” 6 spektakli	...	...	3 500 — 83%
OPERA — „Czarujący Giulio” 4 spektakle	...	...	2 845 — 68%
OPERA — „Verbum nobile” 1 spektakl	...	...	711 — 100%
FILHARMONIA — Koncert kameralny, dwa koncerty	...	...	576 — 80%
ESTRADA — Tamara Miansarowa 1 koncert	...	...	2 500 — 25%

Cyfrы procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

Pustynia. Na pustyni gorąco i pić się chce. Prawdopodobnie bohaterem tych żartów wcale nie jest do śmiechu. To oczywiście nie powód, abyśmy my się nie śmiali...



Do widzenia, Otto, tutaj droga skręca w prawo...



Nie przeszkadzaj, widzisz że tatuś prowadzi.



Mój pije jeden litr na 100 kilometrów...

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI Drugi BRZEG

Nasze wspólne kolacje urządzaliśmy sobie w pierwszą środę każdego miesiąca. Najpierw było nas tylko trzech, Kowalski, Kozera i ja — trzymaliśmy się razem począwszy od drugiego roku niewoli, razem wyszliśmy z obozu i nie straciliśmy kontaktu ani na chwilę. Później Kowalski spotkał gdzieś na licytacji Tolka, który przeniósł się właśnie do Warszawy z Radomia. Tolek ściągnął Wańtucha i Czyżę. Wszyscy spaliliśmy na jednej izbie prawie trzy lata w ostatnim obozie, niedaleko Kolonii, i mimo żeśmy grzyźli się nieraz i dokuczali sobie wzajem — przecież wytworzyli się między nami pewne więzy sympatii i zrozumienia. Dochoodziły nas słuchy o wielu innych jeszcze kolegach, czasem przychodzili wyznici z nami parę sznapsów, ale my stanowiliśmy dla siebie dość odrębną, zaprzyjaźnioną grupkę i nasz stosunek do pozostałych był raczej konwencjonalny. Nie wiedzieliśmy tylko, gdzie podziwiał się Piotruś Gawron. Za jego ucieczkę z Władziem Przedpełskim dostało nam się — jako współlokatorów, a więc prawdopodobnie współwinnych — i pomocnikom — nieźle po krzyżach. Wańtuch wypuścił wtedy dwa zęby i do dził uśmiechał się trochę krzywo, żeby nie było widać. W miesiac po tej ucieczce odczytano na apel, że sztrafaj wywołują właśnie z Renu zwłoki jeńca numer taki a taki — odpowiadaliśmy jakimś tam strofem na intencje Władzia i uciekliśmy jego pamięć minuta milczenia. O Gawronie słuchaliśmy. Nie więc dziwnego, że po tym telefonie...

Było tak: którejś środę, kiedy jak zwykle siedzieliśmy znowu przy naszym stole, Kowalski swym monotonnym, zmęczonym śmiertelnie głosem opowiadał o parce, która kupił w Jabłonie, a Wańtuch dukał w zębach i na pewno nie słuchał wcale, co mówił: — w głębi restauracji, od jej części „gospodarczej” ukazał się kelner i „blizną” się zapytał: „Czy jest między Wami pan Kozera?” Nie, nie ma. Kelner odchodził, ale Kozera wołał za nim: „A może Kozera?” „A... może Kozera Pan Kozera — być może. To szanowny pan?” „A co się stało?” „Ktoś prosi do telefonu. Zaraz się uweźmie”.

Kelner poszedł przodem, a Kozera nie czekając, za nim. Jak gdyby z góry był pewien, że to właśnie o niego chodzi. Wrócił bardzo szybko i z daleka było widać, że niesie ważną nowinę. Przypominam sobie jak z pewnym wyrachowaniem na efekt oparł się o swoje krzesło, poczekał moment i dopiero kiedy wszyscy zawisnęli oczami na jego wargach przemówił: „No, będziemy mieli gościa...” Tradycyjna metoda nie pytałimy o nic, nie chcąc dawać Kozere zbytniej przewagi nad nami. Wiele oczywiście zaczął mówić sam. „Błote słuchawki i natychmiast słysze — czy jest pan Kozera? Jestem, mówię, z kim mam przyjemność? — Bo go w pierwszej chwili nie poznałem a raczej poznałem głos, tylko nie od razu uświadomiłem sobie, do kogo należę. I słysze: Gawron mówi — jesteście tam wszyscy? Jesteśmy. No to będziecie mieli frajdę. Przyjdzie tam za jakieś pół godziny. Tymczasem! I rzuca słuchawki. Był mocno zdenerwowany...” Zdenerwowany? Miał przecież nerwy jak postronki! — przeszło mi przez myśl. Znowu z niezwykłą wrażliwością zobaczyłem te noc sprzed wielu lat, kiedy przytrzymaliśmy koleżaste druty, a Piotr z Władziem przemknie się dołem na drugą stronę. Przedpełski szedł pierwszy, komplementy wlewał w swym cywilnym stroju skompletowanym z nastrożniejszych części, w za krótkich spodniach i za obszernej marynarki. Piotr miał usta zacienione, jego zimna krew zapobiegła odkryciu nas przez wartownika: kazał nam nagle paść na ziemię i milczeć. Ront przeszedł i dokonczyliśmy dzieła. Gawron polaczył się z Władziem, obaj zniknęli w zagajniku. Zakreśliłmy z powrotem drut i nigdy nie dowiedziano się, skąd wyszli uciekinierzy.

No więc przyszedł. Błdy i zaniedbany. O wiele szupielisz niż wtedy. Powinniśmy przecież rzucić się sobie na szyję — przyjaciel się odnalazł! Nikt jednak nie uczynił ani gestu, gdy rzucił nam na powitanie: — Jestem i ja! — cisnął kapelusz na półkę nad wieszakiem i usiadł na podstawnym krześle. Kozera, który siedział obok Gawrona, robił co mógł, pytał sakramentalnie co słychać, jak zdrowie i tym podobnie. — Dawno jesteś w Warszawie? Nie bardzo! No, a jakie wrażenia pierzysze — głównie to było, co?

— Ja ci powiem... — podniósł błędne oczy na nas, aż Wańtuch szeptał widelcem o talerz — reka mu zadziła. Piotr przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, powoli jak skazaniec z wyżym gilotyny.

— Powiem wam, bo i tak mi nie dacie spokoju. Dla was to gratka.

Tolek poprawia się na krześle, krzesło skrzypi.

— Uciekać nie było łatwo. Nie wiedcie nie. Tej samej jeszcze nocy, gdyśmy przemokli do szpiku kości. Przedpełski chciał, no, miał dosyć. A chmurę tłuły się po drzewach i tak było. Gdzie tam można było po omacku wleźć! Władec... zaczął mi opo-

wiadzać szeptem o żonie i o swojej małej córce. Pod świerkiem, trzęsąc się z zimna. Ze gdyby tak coś, to one zostały bez środków do życia. Wiece — już mam kamień u nogi. O święcie doszliśmy parę kilometrów, las się skończył, znowu czekać nocy, w jęczynach, w mokrej ziemi... At! Co opowiadać? To był koszmar, 5 kilometrów nocy i 20 godzin skurczenia w jakiejsz dziurze — i deszcz, o Boże, skąd tyle deszczu!... Sami wiece, że nasze buty to była formalność. Palce zaczęły gnić — tak, po prostu gnić, mokre stałe, brudne. Ostatnia konserwa zjedliśmy piętego dnia, tak blisko obozu, że Władec znowu nieśmiało o powrocie... Cholera, mówię, smar-kaczu! Siedź!

— Potem leżeliśmy cały dzień w marchwi, wiece było już co jeść i jeszcze wziąć na drogę. Potem... no i tak dzień za dniem. Władec wyglądał źle, zawział się, mówił bardzo rzadko, jechał tylko i oczami zarażał. A raz, aha!... tu Gawron uśmiechnął się. Tak trochę szelmowsko, figlarnie, jakby za chwilę miał nam opowiedzieć świetny kawał. Ożywiłmy się wszyscy, bo już zaczynało być ciężko.

— Raz byliśmy w małym miasteczku, świt się szykował, nie było czasu oglądać się zbytnio. Kryjówkę, dziurę jakąś bad! O rany, robotnicy już zaczęli na rowerach... Przedmieście — wiece, ogródki jak w domkach, ludzi zaraz będzie jak nasł. Raz dwa — podnosimy kłape jakiegoś kanału. Wład skacze ciężko na dół — za sztyw-

chłona w siebie te jego skrety i wybuchy — po co właściwie? Po to, żeby tamten mógł przynajmniej siebie zobaczyć, poczuć, namacać. Tak robi przecież każdy — szuka potwierdzenia swego istnienia, nasłuchuje echa własnych słów. Lepsze to niż nic, lepiej tuć się pięćdziesiąt kilometrów, niż walczyć o życie w próżni i nie wiedzieć nic, nie czuć.

— Nocą poszliśmy jednak dalej. Znowu krzaczki, lasy, zimno, deszcz i głód. Raz chciałem już Przedpełskiego zostawić i iść samotnie. Chłop miał naprawdę dosyć, gorączkował, prosił, żebyśmy gdzieś ludzi zaczęli i koniec. Wiece przecież, że ja sam tego nie zrobię — powiada. Ze niby mniej będzie miał sobie do wyrzucenia, jeśli poddamy się razem. Ale jak mogłem zrobić coś takiego? — przerwał Gawron na moment aby powtórzyć: — Nie, nie mogłem, absolutnie.

— Perswadowałem mu, Władziu, pójdę sam, zostaw, za godzinę cie ktoś znajdzie odstawia do obozu, odpoczniesz. Nie i nie. Wściekły był na mnie, przeszkadzał mi, a lazi i lazi. A przecież znowu uciec od niego po kryjomu też nie mogłem...

— I doszliśmy do Renu — usłyszałem znowu jego ciężki, zduszony głos. Głową spuścił bardzo nisko, a nas wszystkich dreszcz przeszedł; teraz dopiero Gawron nam tu wygarnie jakąś nowinę. Zimno błysnęła przed oczyma mej wyobraźni gładka, groźna tafla rzeki. Tylko tu i ówdzie spiralne, delikatne desenie — wiry, o ta-

fiś z nim do ludzi? — rzucił nam nagłe wyzywając.

— Albo zostawić go? Chciałem zostawić. Mówię: to siedź, ja płynę. Spojrzał na mnie wściekle, żeby zacisnął i do wody. Trzy kroki od brzegu już trzeba płynąć. Chmury wisiały tuż nad naszymi głowami, czekały tylko. Jak przycajony kot. Ja za nim. Za... za nim, za Władziem. Ubranie na karku, a hałas taki się robi — teraz jak usłysze! Chciałem się modlić, nie mogłem. Płyniemy, rozumiemy... Korek czarny — Przedpełski, żywy Przedpełski. Z chmurami na głowie. Myślałem, że tylko do brzegu, a zasłocham nagle albo zawięję, albo co — taka emocja. Drapałem wodę, wiece? Ze złością ciągle. Las już był w wodzie, zaraz brzeg... Tu Władzio... — stęknął Piotr i zawisnął oczami w jakimś punkcie nad czołem Kozery. Półuchylone wargi drżały, rękami płynął nad stołem a my wszyscy z nim. Czulem zimną wodę przelewającą się między kolanami. Krztusiłem się, piana, tobolek przyniatał mi kark. Już tak niedaleko!

...rękami w górę, wiatrak... Wiedziałem co jest. Niknął i znowu się pokazał, zacharował, tuż przy mnie. Każdy chce żyć, a on był na mnie zły, nienawidził mnie. Powinien był z tobą uciekać! — podbródkiem wskazał Wańtucha zalamującego ręce aż trzeszczały. Wańtuch patrzył w swój spodek i już nie słuchał. Już pewnie wiedział tak samo jak ja.

— ...charzał, potem wyrzucił się rozpaczliwym szponem do góry... Dopiero teraz — rzekonałem się co to jest cisza. Teraz kiedy Władec krzyknął. O pomoc wołał... Wiece tak? Tu pelotkarze przyleca i koniec. A te dwa tygodnie? Wiece!... Byłem pewny, że byle na brzeg... A ten krzyczy coraz głośniejsze. Ja go reka... — aż powstał Gawron i rozczapierzoną szponiastą dłoń chwycił kogoś oczami w nie go się wwiercał, strach mnie obleciał.

— ...za gardło... brzeg zaraz, jużem w lesie... w cieniu lasu... Ja go na dół, żeby był cisz, żeby nam żołdatów na kark nie ściągnął. No i Władzio przestał krzyżeć...

Odetchnałem ciężko. No, już! Nareszcie mamy to za sobą. Najgorsze już się powiedziało. Poczułem pod stopami twardą ziemię i opiekunę las nad głową, las, co potrafił ukryć niejedno. Piotr powiódł po nas oczami, usiadł powoli, Wańtuch ani drgnął. Antek, podniecony do najwyższego stopnia zagryzał wargi. Kozera ciągnął papierosa za papierosem aż mu się policzki niemal schodziły ze sobą. Czy pułk leciutko pierścieniem wstąpił nie podnosił oczu za wstydzonej jakby tym co usłyszał. Kowalski obserwował — nie wiem dlaczego — moja twarz. Dlaczego on na mnie tak patrzył? I co on tam zobaczył? Pamiętam, że już po wszystkim podszedł do mnie, klepał mnie po ramieniu, serdeczny był jakiś, jak wobec chorego...

Piotr po chwili mówił dalej, bezbarwnym, zmęczonym głosem. — Myślisz — wyrzuty sumienia? Ani trochę! Wtedy — nic! Pusto było we mnie jak w kościele, lekko, głowa taka lekka... Rękami ja przytrzymywałem, a w palcach miałem mech... I w ustach mech... Do oczu, do nosa — mech... Gwałtownym ruchem chwycił Kozera kieliszek, pukał sobie usta wodką zanim ją połknął. Gdy jeszcze Czyż odkaszlnął, przestał mnie zatykać.

— Potem już szybko nad podziw. Wszystko ko nagle stało się łatwe. Miałem przecież cywilne ubranie. Wsiadłem w pociąg, anim pomyślał, że może być podejrany. Przez granice — głupstwo. Znalazłem kogoś trzeba. Z furmanki na furmankę — znowu granica — i wolność...

Widzicie, chodziło o ten drugi brzeg. Dobrze myślałem: byle na drugi brzeg! Wciąż byłem spokojny. A nagle: koniec! Byłście w tej chwili w drutach nie wiecie, co się działo. Cieszyli się, a mnie nagle ukulono... Wstecz... Noc nad Renem i wiatrak z rak Władkowych... Dwa? Trzy? Osem mieśnecy temu? Jak wczoraj... A Władzia nie ma. Nie ma go! Za te kilka moich mieśnecy, żona i córka...

Takie to śmieszne się stało — ten cały mój ped do swobody, ta zarozumiałość. Wtedy wyrzucił! Miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Władec o pomoc wołał, Władec patrzył wciąż, stale, fotografie córki pokazywał... Czekając... Nic! Wszystko w porządku! Wypadek — jeden z wielu. I teraz co? No, co teraz? — wrzasnął Gawron na nas, żądając bezapelacyjnie odpowiedzi. Trzeba było mu coś powiedzieć, koniecznie! Zmusił nas spojrzaniem, palcami, nawisem ścigających brwi. Kozera, naiprzytomniejszy z nas wszystkich, próbował dyplomatycznie: — Sprawa uleżała, łamać ci życia nie będziemy. Dużo trzeba wybaczyć — wojna była. Wańtuch westchnął głęboko, podparł czoło dłonią — aż się czuło intensywność jego myśli, rozpaczliwe szukanie wyjścia. Kowalski patrzył na mnie jak urzeczony, głowa nieznacznie potakiwała — pewnie domysłom własnym. Piotr skończył i chciał nareszcie coś usłyszeć, jeszcze miał nadzieję, ludzi się, że takie rzeczy może ktoś pomóc „zwiazać”. Tak jak by było możliwe rzucić się za kimś w przepaść, aby mu mówić o tym, co na górze zostawił. Rozuźniał się powoli, rezerwował, smutniał. Antek, uraczony tego wieczora obficie, pytał rzeczowo, a pytania jego toniały w obojętnej próżni: — Czy, gdyby Władec nie przestał wołać, żołnierze Niemcy zdążyliby wyciągnąć was z wody? Czy nie mogłeś sam go ratować, zanim pomoc przybędzie? Było przecież blisko brzegu...

Tu Gawron znowu przemówił, ale już bez ognia, bez buntu, który przedtem tak się w nim młotał.

— Blisko brzegu... Myślałem — byle na drugi brzeg... A teraz... Teraz mam takie chwile, że myślę, gdzie tu jest drugi brzeg?

— Nie rozumiem — podnosi brwi Tolek. — A tak — kończył Gawron. — Bo może to, rozumiesz... Czasami tak myślę, że to właśnie Władec dostał się na tamten brzeg, a ja wciąż jak wiatrak rękami... po wodzie... w ciszy takiej... z chmurami... z tym tobolek nad głową... rozumiecie?...



Stare Bałuty

Ryszard Nowakowski

nv już był, żeby spuszczać się po kłamiach jak kot — ja przywalam sobie kłame na głowę. Smród jak cholera, oddychać nie ma czym, w głowie zawraca. Na zmianę przytykałmy nosy do szpary, tylko tak można było nie zemdleć. Odpocznym żądanie, oddychanie kosztowało nas więcej niż znużenie. W końcu nocy marsz. A w południe przychodził ktoś, bracie i staję nam nad głową. Spojrzeliśmy po sobie. Tamten trzę zapalkę — słysząc zapalną papierosa. Krwawy but się po mnie przewalił... Ach taka owaka mać... Tyle trudu na nic. Bo bydle steka i próbuje podnieść kłame. Przedpełski westchnął głęboko — może się i psiakrew ucieczył, zwinął się na dnie i twarz rekami zakrył. A mnie się tylko piersi zwinęły, a na tym chłustem powietrza — jakby mi kto kamieniem w czołko. Patrze w górę, światło mie najpierw poraziło, a potem widzę: nie gołona, blada gęba z faja, kudłata, brudna. Patrze: śmieje się i mruga. W furazerce zielonej i zielonej kurcie — aha, wście. Francuz! Camerad? — pytam go i palec kładę na ustach. Przytomny był — nie mówił nic, kłame z powrotem i tłumaczył komuś, że ist fertigt nix mehr brauchen, sauber Meister!

— Toście mieli rzeczywiste szczęście — dyszy podnieceniem Tolek. Ale Gawron skrzywił się kwaśno i reka machnął. Nie chciał żadnych zapytań ani przemówień. Sam z sobą przebiegał — to było widać jak na dłoni. Czulem doskonale, że jestem tu jakby nieobecny, nieobecny. Jak duch, tak, tak właśnie musza się czuć duchy, jeśli sa. Ktoś tam żyje, młota sie, drapie ścianę, nie należące do nikogo oczy i uszy

kiej ukrytej, a dającej o sobie znać mocy, że lek człowieka przejmował.

— W dół — miasteczko. Miasto nawet. Wiece obchodzić za daleko. Siedziemy w krzakach, berliński płyną — ruch na wodzie. W przeciwną stronę tak golo, że baliliśmy się wypuścić. Rzeką jak blacha z kobaltu, dziurawa — to księżyc. Z tamtej strony las — to niby dojrzejemy trafili. Szybko płynię — uregulowany, w ryzach jak w obiegach. Patrzymy po wodzie płasko — aż po północy wiatr i wtedy Ren się ocieknął. Walił tak szybko jak ryzostok po deszczu, żółty, brudny, zwarty, aż go się w gardle czuło. Tak jakbyś się topił i już spłukać nie nadszedł. Naprawdę takie — och i wtedy ten ryk to tak — za żółdą pięścią i szarpnął. Władzio jęknął i twarzą w ziemię jak pod ogniem. Ale to nie było słowo daję. W miasteczku ogłaszał alarm. Straszne mają syreny. Po wodzie to szło jak traba, ale jakaś bólu wściekłego pełna. Zaraz potem zaczęły się blyski, huk, skrzyżowały się nad nami reflektory: ramiona stożka. Pelotka zaczęła strzelać — no, mieliśmy szczęście. Znowu mieliśmy szczęście — spojrzal Gawron sardonicznie na Tolka. — Bo stała kilkadziesiąt metrów od nas. W tych samych krzakach... Zdecydowało się wiece: ani w te, ani w tamtą. Łódki, kajaka — nie. Tak do rana i znowu cały dzień. Byłem taki pewny, że Ren to ostatnia przeszkoda! Był na drugi brzeg... Był ciemna noc...

Ciemna była. Władzio chwalił się kiedyś, że dobrze pływa. Inaczej nie szło — wpław. On mi o żonie i o córce, zebrał mi szczeka, zdenerwowany strasznie. Gorzka żarła go już tydzień. Może trzeba było



Kadr z węgierskiego filmu pt. „Ręka w rękę”.

ALINA GRABOWSKA

Notatnik FESTIWALOWY

Spędziłam w Krakowie dwa tygodnie.

IV Ogólnopolski i I Międzynarodowy — Festiwal Filmów Krótkometrażowych, doczekają się z pewnością głębokich i wnikliwych analiz. Dlatego chciałabym napisać „o czymś innym”. O nastroju tej wielkiej imprezy, niewątpliwie największego naszego przedsięwzięcia kulturalnego. O atmosferze, jaka jej towarzyszy. O wysiłku setek ludzi, dzięki którym sprawnie i bez zgrzytów działa festiwalowa machina. O kontaktach osobistych, o rzeczach śmiesznych oraz o rzeczach poważnych, o tym wszystkim, co składa się na owe dwa krakowskie tygodnie.

Pozwólcie, że zaniecham uczonych wywodów i mądrych dysertacji. Pozwólcie, że przedstawię Wam po prostu — dzień po dniu, na bieżąco notowane, refleksje i spostrzeżenia. Strzępki rozmów — czasem streszczenie filmu — czasem tylko program dnia albo anegdotę. Czyż nie stanowi to niekiedy największej „sumy prawd”?

DZIEŃ PIERWSZY

Przykładowy, „skondensowany” dzień w Krakowie wyglądał tak: o 9.30 pokaz etud PWST i F. O 11 sympozjum na temat roli i miejsca polskiego filmu dokumentalnego. O 13 nadprogramowy pokaz filmu Leacocka „Wszystkiego dobrego, Pani Fisher”. Film wycofany z konkursu, bo jego twórca zasiada w jury. O 14 projekcja filmów Dżigi Wiertowa i jego następców. Trzeba koniecznie zobaczyć, jedyna okazja. Zaraz po tym pokaz retrospektywny Dokumentu. Wskakujemy z końca pokazu, żeby zobaczyć za drugą część węgierskiego filmu fabularnego o Ewie Krez — Węgierce, która straciła w obozie hitlerowskim całą rodzinę, którą zaadoptowali Polacy, której jedynym „znakiem rozpoznawczym” jest obozowy numer, która studiując obecnie na medycynie w Krakowie. Na pokazie obecna jest Ewa — oraz twórcy filmu.

Pokaz się kończy, mamy pół godziny do rozpoczęcia projekcji w tzw. „sekcji informacyjnej”. Część osób udaje się na pokaz zestawu NRD. O godzinie 20, w kinie festiwalowym rozpoczyna się normalna projekcja konkursowa. Kończy się ok. 23 i wtedy trzeba jeszcze przejrzeć aktualne biuletyny i materiały, wybrać zdjęcia, porozmawiać. Ufff!

DZIEŃ DRUGI

Nagrody w obu Festiwalach wręczano w soboty wieczorem, na uroczystych pokazach,

Wśród filmów zagranicznych ex aequo — „Gdy odleci me wa” (Francja) i „Światło księżyca” (NRD), wyborom towarzyszyły ożywione dysputy.

DZIEŃ CZWARTY

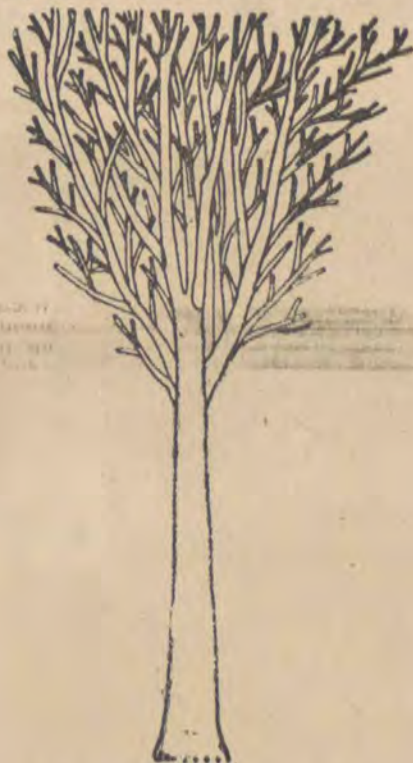
Fragment rozmowy z Marią Niem Marzyńską, zdobywcą obu „Grand Prix”: — Stykałem się już przedtem z Polakami, wracającymi do kraju. Spotykałem ich w hotelach, w restauracjach, w domach prywatnych. Pod maską dobrobytu, zadowolenia z siebie, każdy z nich dźwigał ogromny ciężar — ciężar rozstania z ojczyzną. Przyjeżdżała na starość, żeby okupić winę, żeby odnaleźć to, co stracił. Przez całe życie kuliły w sobie polskość na obcym, nieprzyjaznym, nierozumiejącym ich gruncie. Teraz następuje ich pierwsze — po latach — zetknięcie z rodzinną ziemią. I w tym momencie stają autentyczni, prawdziwi. A to jest zadanie filmu — odnaleźć sytuację, w której uchwycić można prawdziwą twarz człowieka.

DZIEŃ PIĄTY

Gdzie się jada? Jada się w hotelu „Polskim” i w „Grandzie”. Wszędzie tam zarezerwowane sale dla gości ożobionych festiwalowymi znaczkami. Czynna jest także (przy kinie) festiwalowa kawiarnia, do Festiwalu „przynależy” również legendarna kawiarnia „Lili”, gdzie najlepsza kawa na świecie i jedyna w swoim rodzaju księga pamiątkowa, do której wpisała się cała polska kultura i sztuka oraz polski świat. Natomiast z braku czasu większość z nas spożywa w biegu posiłek w samobieżnym barze „Kuchcik”.

DZIEŃ TRZECI

W prywatnej ankiecie Lecha Pijanowskiego na „najgorszy film Festiwalu” zwyciężył, bijąc kandydatów „o głowę” obraz zatytułowany „Dwa jabłuszka”, a wyprodukowany przez „Bielsko-Białą”,



„Miłość” prod. japońskiej, nagroda w dziale filmów animowanych.

DZIEŃ SZOSTY

Festiwal w cyfrach: 23 tysiące widzów. Około 110 filmów w konkursie, około 30 w sekcji informacyjnej. Ok. 150 dziennikarzy z kraju i ze świata. Około 200 gości zagranicznych. 20 państw biorze udział w I MFFK. W trakcie Festiwalu polskiego przejrzelśmy łącznie 16.376 m taśmy.

DZIEŃ SIÓDMY

SPACII

DZIEŃ OSMY

Fascynujący kontrast: w warstwie dźwiękowej japoński animowany film „Miłość” („Miłość”) przypomina znane nagranie Earthy Kitt: tak samo, w różnych interpretacjach powtarza się jedno słowo „Ai”. Ni to mówiona, ni to śpiewana, raz podawana namyślnym szeptem, raz groźnie, drażniąco urwane, raz liryczne i czule. Tymczasem na panoramicznym ekranie groteskowa kobieta próbuje dogonić, mniejszego od siebie partnera — łapie go siatką na motyle, polyka, szuka, chwytka, bije. Film antyfeministyczny?

DZIEŃ DZIEWIĄTY

Ci ludzie w ogóle nie śpią. Biuro Organizacyjne załatwia dosłownie wszystko: bilety kolejowe i lotnicze, Kopie. Zaproszenia. Hotele. Diety dla obokrajowców. Wysła depesze do Nowego Jorku, gdzie trzeba komuś złożyć życzenia urodzinowe. Występuje pretenasja. Dysponuje tłumaczami. Posyła samochody. Oprowdza po mieście, Czestuje wodą sodową.

Biuro Prasowe wydaje codziennie biuletyny w paru językach. Gromadzi i rozdaje stopy materiałów o filmie polskim w ogóle, o krótkometrażowym w szczególności. Przeprowadza błyskawiczne wywiady. Oferuje fotosty. Dysponuje maszynami do pisania (w tym jedna ma rosyjską czcionkę) Powiela teksty referatów i głosy w dyskusjach. Rozdziała zaproszenia na końcowy bankiet.

DZIEŃ DZIESIĄTY

— Dyskusja: przyszłość „cinema — verite”. Jak długo można tworzyć przy pomocy „ankietyzowania”? „Zródło” i „Miejsce na szkole”. Jaworskiego, Karabasz, Jawor, „Powrót statku”. Wpływ telewizji, powtarzane odkrycie ludzkiej twarzy. Urywany, nie pewny ruch kamery, filmy autentyczne, nie inscenizowane. Światowa sława Leacocka. Leacock opowiada: „Dzisiejszą rację stanu filmu dokumentalnego widzę w wykorzystaniu postępu technicznego. Wszystkie swoje filmy realizuję na taśmie 16 mm, a grupa produkcyjna składa się zaledwie z 2 osób. Chcemy przy pomocy filmu nie komponować i kontrolować rzeczywistość — ale obserwować ją”.

W zestawieniu z tym — drugi nurt dokumentu, „psychologiczny dokumentalizm”, którego znakomitą przedstawił wicielem jest rewelacyjny film Krisha „Chyba nazywają go Johnem”.

DZIEŃ JEDENASTY

Urwalimy się z pokazu, żeby pojechać na krakowską „Tandetę”.

DZIEŃ DWUNASTY

Decyzje jury trzymane są do ostatniej chwili w tajemnicy. Nie pomagają molestowanie jurorów. Tylko jedna osoba w Biurze Organizacyjnym ma prawo wiedzieć — do jej zadań należy bowiem wysłanie błyskawicznych depesz ścigających do Krakowa potrzebne osoby. Tak, żeby na uroczystym pokazie publiczność zobaczyła już twórców nagrodzonych filmów.

DZIEŃ TRZYNASTY

Publiczność krakowska tułała i gwizdała podczas projekcji „Światła księżycy”. Słusznie — choć nieładnie! Po dołoby się dwa piękne filmy oświatowe, francuski o krążeniu krwi i węgierski „Złoty podział”. Oświecająca technika animacji, piękny kolor, walory plastyczne — i ta jasność, precyzja wykładu! Po projekcji słyszałam rozmowę jakiegoś Anglika z Niemką i Chińczykiem, prowadzoną przez tłumacza polskiego. W ogóle Festiwal jest istną wieżą Babel, w restauracji kelner gładko konwersuje po francusku z przedstawicielką włoskiej telewizji.

DZIEŃ CZTERNASTY

Czy to już koniec?

OBCER SEZONY

Real nie został klubowym mistrzem Europy. Był nim już pięć lat. Potem zaczął przegrywać. Dwa lata temu znowu dotarł do finału. W Amsterdamie nie wytrzymał tempa gry. Lizbońska „Benfica” atakowała bez przerwy. Przegrwała dwu bramkami w pierwszej połowie. By dwu bramkami mecz wygrał. To był koniec Realu, Wielkiego Realu. Ale Real nie chciał zrezygnować. I oto w tym roku znowu przedarł się do finału. Ten sam Real, ci sami gracze. Znakomitości lat pięćdziesiątych. Santa Maria, niegdyś wielki stoper reprezentacji Urugwaju, Francisco Gento — ongi najszybszy z lewoskrzydłowych. Perenc Puskas — niezawodny napastnik dawnego Honvedu i dawnej reprezentacji Węgier, Alfredo di Stefano wreszcie, Alfredo di Stefano, który był synonimem piłkarskiej doskonałości. Naprzeciw wysłała jedenastka mediolańskiego „Internazionale”. W „Internazionale” grał Suarez. Suarez był swego czasu nadzieją hiszpańskiego piłkarstwa, nadzieją klubu „Barcelona”. Był głównym konkurentem Alfredo di Stefano. Grał z nim w reprezentacji. Wiele, wiele razy. Grał przeciw niemu w barwach swego klubu. Wiele, wiele razy. Miał zagrać jeszcze raz. W Wiedniu. W finale pucharu klubowych mistrzów Europy. Nie lubił Alfredo di Stefano, Alfredo di Stefano nie znosił trener „Interu”. Od paru lat jest nim Heleno Herrera. Heleno Herrera miał swoje porachunki z Realem, i przede wszystkim z di Stefano. Kiedyś — nie tak dawno jeszcze — temu — Herrera trenował Barcelonę. Di Stefano odpowiadał o nim na lewo i prawo. Udzielał wywiadów. Mówił dużo. Szydził. Wyśmiewał Herrera. Potem Herrera został trenerem reprezentacji Hiszpanii. W czasie mistrzostw świata w Chile, Hiszpania grała tam trzy mecze. Przez trzy mecze di Stefano siedział na ławce rezerwowych. To stało się przyczyną późniejszego skandalu. Herrera wrócił do Włoch. I oto teraz w Wiedniu miał szansę rewanżu. Mógł wziąć odwet i nad di Stefano i nad całym Realem. Nad tym Realem, który przedtem pogrzebał szanse jego drużyny — była nią wtedy „Barcelona” — w tym samym pucharze klubowych mistrzów Europy. Herrera wziął odwet. „Inter” wygrał. Realizował „lepszy” schemat taktyczny. Tak, jego gracze byli może gorzej wyszkoleni. Ale byli szybsi. Znacznie szybsi. Przegrana Realu jest przegrana schematu, który nade wszystko fawo-

ryzował atak? Który przedkładał go nad defensywę? Który widział sukces nie w asekurowaniu własnej bramki, lecz w naporze na bramkę cudzą? Być może. Nie jestem tego pewien. Boję się wielkich koncepcji opartych o skromną, jakże skromną empirię. Tym bardziej... Tym bardziej, że empiria jest tutaj dwuznaczna. Nie wiem, czy przegrana Realu była przegrana taktycznego schematu czy też tych, którzy nie mogli go zrealizować, zrealizować nie potrafili. Warunki stawiane przez schemat? Nie zdołał im sprostać. Chcieli, bardzo chcieli. Po ich stronie była chęć doświadczenia. Rozsądek, uzyskiwany za sprawą wieloletniego powtórzenia analogicznych sytuacji. Przeciw nim była ich starość. Piłkarska starość zaczynała się po trzydziestce. Przeciw nim świadczyła biologia. Ogólna sprawność organizmu. Postawili na atak. I spótnali się. Puskas zwiłkwał z przyjęciem piłki ze strzałem, próbował dribblingu. Był to powolny dribling. Woscy obrońcy wybijali mu piłkę spod nóg. Perfekcja techniczna nie adawała się na nic. Była przecież perfekcją techniczną zwolnionych ruchów, niespiesznych obrotów ciała. Szybkość Gento, Zachwycająca szybkość lat pięćdziesiątych. Cóż z niej pozostało. Żałona imitacja. I kilka zwodów. Nieudolnych, kalekich. Tak taktyk Gento parodiował sam siebie. Parodiował tego, kim był zamieniając go tym, kim jest. A potem przyrzekł, zmienił. Wówczas, gdy „Inter” prowadził Gody było wyrównane. Młodzi zaczęli szybnąć. Podania chybiały celu. Musimy wyrównać i wieny, już wiemy, że nie wyrównamy. Że to przegrany mecz. Tak bardzo zależało nam na pucharze. Na tym, właśnie tym pucharze. Będziemy musieli odejść. Zapomnieć o boisku. Jesteśmy stary. Chcieliśmy odejść z pucharem. Odejść zwyciężając. Odejdziemy pokonani! Zdajemy sobie z tego sprawę. Odejdziemy z grymasem zmęczenia na twarzy. Strawieni przez własną starość. Ze świadomością przegranej. Ale jest jeszcze szansa. Ostatnia szansa. Spróbujmy ją wykorzystać. Na nic. Na nic. Santa Maria przerzuca piłkę przez Mazzolę. Robi to nieładnie. Mazzola łapie ją, idzie na bramkę. To już koniec. Piłka uderza o siatkę. Przegraliśmy mecz. Przegraliśmy.

Przegrałem go. Przegrałem go pospół z Realem — z Królewskim Klubem z Madrytu. Chciałem tego wygranej. Chciałem wbrew rozsądkowi. Na przekór obliczeniom. Przegrałem wraz z piłkarzami mojej młodości. Z Alfredo di Stefano z Gento, z Puskasem. Każdy z nas ma piłkarza swojej młodości. Piłkarzy, tenisistów, bokserów. Każdy z nas wie, że kiedyś przegrał. I wtedy uświadamia sobie, że to przegrywa jego czas. Zderzony z czasem innym. Nie ma już naszych sezonów. Nastają sezony cudze. Obcych uniesień, obcych sentymentów. Nie lubimy ich. Nie lubimy. Ponieważ ich tandeta nie jest tandetą naszych pierwszych ośnień. Naszych pierwszych gniewów.

Punch



Kupujesz w „Galluxie” wdzianko. Ładne, kolorowe, zgrabnie skrojone. Z kim kojarzy ci się to barwne wdzianko? Z krawcem, no, może z fabryką, z rzędem maszyn. Czy jest w tym skojarzeniu miejsce na artystę plastyka, na twórcę nie tego konkretnego wdzianka, ale twórcę wizji, rzecz moźna artystycznej wizji wdzianka? Bardzo rzadko.

Tu jest jakiś problem. Te 60 proc. absolwentów Wydziału Tkactwa, Druku, Ubiory PWSSP w Łodzi, którzy podejmują pracę w przemyśle, podejmują nie najweselejszą decyzję. Są wszak artystami. — Szkoła daje im pełne, ogólne wykształcenie plastyczne plus odpowiedzialną specjalizację — a praca w przemyśle skazuje ich na anonimowość. Był nie dawno w Moskwie wielki pokaz mody. Polska zdobyła tam wiele nagród i wyróżnień. Tak właśnie wybrano „Polską zdobywcę”. A przecież twórcami tych nagrodzonych projektów byli żywi ludzie, artyści — w przeważającej części zresztą absolwenci łódzkiej szkoły.

Wszyscy są zgodni co do tego — zarówno przemysł jak i władze szkoły — że stworzenie bodźca artystycznego dla plastyków pracujących w przemyśle jest konieczne. Na razie myśli się o tym, dyskutuje. Dobrze chociaż, że inny bodziec — finansowy — jest. Ale on artystom nie wystarcza. To może dziwne ale prawdziwe.

Na stanowiskach w komórkach wzorujących w całej Polsce pracują absolwenci łódzkiej szkoły. Dziś można już powiedzieć, że 70 proc. zatrudnionych to plastycy wykształceni w pałacyku przy ul. Narutowicza. Są wśród nich specjaliści od tkaniny odzieżowej, dekoracyjnej, specjaliści — projektanci ubioru

Artyści, dyplomy, anonimowość

— właśnie tego kolorowego wdzianka z Galluxu, projektanci ubuwia, galanterii skrojonej i metalowej... Aż ośmiem specjalizacji istnieje na Wydziałach Tkaniny, Druku, Ubiory.

Przed paroma dniami odbył się w łódzkiej szkole egzamin dyplomowy. PWSSP wypuściła w świat nowych siedmiu artystów — specjalistów wzornictwa. Zaprojektowanie na artystów, którzy potrafili projektować w oparciu o współczesną technikę przemysłową, którzy potrafili dogadać się z technikami — istnieje w Polsce olbrzymie. Zwiększono więc łódzkiej PWSSP limit. Od następnych lat polski przemysł otrzymywać będzie z pałacyku przy ul. Narutowicza ponad 40 artystów, którzy — miejmy nadzieję — już nie anonimowo tworzyć będą barwne tkaniny i funkcjonalną odzież, artystyczną galanterię i wygodne obuwie.

Czy nadejdzie czas, że kupując zgrabny bucik pomyślisz nie o szwecu, nie o nowotarskiej wytwórni lecz o artyście, który miał wizję? Wizja wygodnego buta jest przecież wizją w życiu istotną.

JACEK BRYG



JESTEŚMY W CZŁOŁÓWCE

ROZMOWA Z PROF. DR. JERZYM TOEPLITZEM, PRZEWODNICZĄCYM JURY MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU FILMÓW KRÓTKOMETRAŻOWYCH W KRAKOWIE.

— Panie Profesorze, na początek dość naiwne pytanie, które jednak w sposób naturalny każdemu chyba ciśnie się na usta: czy zagranica potraktowała nasz Festiwal poważnie? Czy Festiwal się przyjął?

— Odpowiedzia na pierwsze pytanie są nazwiska niektórych członków jury: Basil Wright (jeden z czołowych dokumentalistów świata, reżyser z grupy twórców angielskiego filmu dokumentalnego, autor wielu znakomych filmów), Leacock — amerykański odpowiednik Wrighta i Jugosłowianin Vysotić — doskonały reżyser praktyk. Oni i wielu innych ciekawych gości zagranicznych, którzy chętnie przyjechali do Krakowa świadczą, że już pierwszy nasz Festiwal wzbudził poważne zainteresowanie.

Czy Festiwal się przyjmie? Jak zawsze zależy to od wielu czynników. Trzeba zawsze pamiętać, że każdy festiwal musi mieć czas na rozkreślenie się. Można ten okres ocenić na trzy lata. Są to lata doskonalenia metod organizacyjnych, lata wzbudzania zainteresowania wśród kinematografii świata, lata wyrabiania sobie marki w świecie. Tegoroczny Festiwal był przygotowany pasywnie — zaproszono kinematografie do udziału w konkursie — i biernie czekano na zgłoszenie filmów. Tymczasem festiwal powinien się przygotowywać aktywnie — zabezpieczać sobie udział konkretnych filmów. Jeśli się na rok przed festiwalem da znać o nim wszystkim zainteresowanym, tym samym zabezpieczy się nadeślanie właściwych, odpowiednio dobranych i wyselekcjonowanych filmów. Takie zabezpieczenie możliwe jest w krótkim metrażu,

gdzie realizuje się filmów więcej i w krótszym czasie. Jest to tym bardziej ważne, że Festiwal Krakowski przyjął za zasadę nienagradzanie filmów, które już zdobyły Grand Prix gdzie indziej. W tym roku jury zrobiło tylko jeden wyjątek, nagradzając „Fotel” Szczuchury, (Grand Prix w kategorii filmów animowanych w Oberhausen-E. L.), ale był to rzeczywicie film najlepszy. Nagroda przyznana „Fotelowi” była jedną z dwóch nagród Festiwalu przyznanych jednocześnie. A konkurencja w tej kategorii była mocna.

— Czy podczas Festiwalu dało się odczuć w filmie krótkometrażowym pojawienie się jakichś ciekawych nowych tendencji?

— Cudów nie ma. Za blisko Oberhausen. Niemniej nasz festiwal był bardzo reprezentatywny, bo pokazywał wszystko co ciekawego dzieje się w świecie w dziedzinie krótkiego metrażu. Najmniej ciekawa była tutaj kategoria krótkich filmów fabularnych. Filmy oświatowe mogłyby być ciekawsze. Ale kategorie filmu dokumentalnego i animowanego reprezentowane były bardzo dobrze. W dokumencie mieliśmy wszystko, od klasycznego filmu dokumentalnego do „Cinema directe”, jak chcą inni „Cinema verite”.

A jak wypadł polski zestaw na tle innych, niezależnie od Wielkiej Nagrody dla „Powrotu statku”?

— Na tym tle wypadliśmy dobrze. W dalszym ciągu jesteśmy w czołówce światowej. „Powrót statku” został nagrodzony, bo stosując metodę „Cinema verite” utrzymał się poddawany wady systemu — to znaczy nie kierowanej gadatliwości. Marzyński dokonał wyboru — film ma wspólny mianownik emocjonalny. To dało mu jednolitość dramatyczną, a ta z kolei — zwycięstwo. Ta cecha filmu została skwapliwie podchwyczona przez zagranicznych członków jury. Zacytuje tu fragment werdyktu jury, z niewiadomych przyczyn niepublikowanego przez prasę... problem powrotu Polaków do kraju, który ma uniwersalny walor emocjonalny, przy użyciu nowoczesnej techniki... „Powrót statku” był właśnie drugim przypadkiem jedyności jury.

A propos prasy — nie publikowano także wstępu do werdyktu jury. A zawarto tam bardzo istotne postulaty pod adresem organizatorów Festiwalu. We wstępie tym jury stwierdza po obejrzeniu 58 filmów, że wybór w kategoriach filmów dokumentalnych i animowanych był bardzo dobry, w kategorii filmów oświatowych słabszy i bardzo zły w kategorii krótkich filmów fabularnych. W związku z tym jury prosi organizatorów o surowszą selekcję w następnych latach.

Uzyskaliśmy więc od Profesora Toeplitza ciekawe i nowe informacje i spostrzeżenia. Dodać należy, że rozmowa nasza toczyła się w krótkich momentach przerwy podczas Symposium Dwaściestoletia Szuki Filmowej w Polsce Ludowej, za co Profesorowi należy się szczególna wdzięczność rozmówcy i czytelników.

Rozmawiała: EWA LIWIŃSKA



NIEZNANY KSIĄŻE PONIATOWSKI

Co by było, gdybyśmy u schyłku XVIII wieku mieli króla, który łączyłby w sobie zalety Piotra Wielkiego, Fryderyka II i Henryka IV Waleczusa? Króla, który byłby strатегоm, gospodarzem i przywódcą ludu? Władcą oświeconego, moralistą i reformatora. Pedantycznie pracującego studenta z Cambridge i dyplomate? Moglibyśmy mieć takiego króla. I co by było, gdyby było?

Dajmy jednak spokój

Marian Brandys. Nieznany Książę Poniatowski. Iskry 1964.

„SUMMA TECHNOLOGIAE” STANISŁAWA LEMA

„Summa technologiae” stanowi na dobrą sprawę zbiór szkiców poświęconych przyszłemu losom cywilizacji. Ścisłej zaś — możliwościom technologii i wpływowi, jakie możliwe są te potrafiłyby wywrzeć na cywilizację. Jest to chyba najlepsza ze wszystkich książek Lema opublikowanych do tej pory. Jest to książka — ze względu na swą wartość intelektualną — bardziej jeszcze fascynująca niż te, które ogłasza kilka lat temu „Dialogi”. Na „Dialogi” Lema nie zwrócono wówczas uwagi. A w każdym razie nie wyeksponowano ich tak jak na to zasługiwały. A przecież była to jedna z najważniejszych pozycji w naszej powojennej esesystyce. Wydał się zresztą, że esesystyka, właśnie esesystyka stanowi najsilniejszą stronę piśmiennictwa Stanisława Lema. Ze to jej przede

wszystkim, a nie powieściom czy opowiadaniom zawdzięcza on swe znaczenie w naszej współczesnej literaturze.

„Summa technologiae” zawiera cały szereg niezmiennie interesujących koncepcji. Znakomita ich większość wiąże się z perspektywami praktycznego wykorzystania ogólnej teorii układów. Trudno byłoby mi tu zajmować stanowisko wobec każdej z lemońskich hipotez. Nie tylko ze względu na miejsce, którego by to wymagało, a którym nie dysponuję, lecz również ze względu na fachową wiedzę autora, na znajomość, a raczej stopień znajomości określonych dyscyplin przyrodniczych, nade wszystkim — fizyki i biologii. Nie znaczy to, jednak bym zachęcał czytelnika do ufności wobec każdej z koncepcji Lema. W „Summa technologiae” zdarzają się bowiem stwierdzenia co najmniej dyskusyjne. Oto przykład. Lem widzi w sprawozdaniu empirycznej jednostki wyróżnik ten naukowych. Jest to koncepcja w swoim radykalizmie zgola przerażająca. Za-

zwyczaj bowiem chcemy uznawać teorematy matematyczne za tezy naukowe. By twierdzić tak pozostać w zgodzie z lemońskim kryterium musielibyśmy wykazać, że konsekwencje takich teorematów dadzą się zbadać eksperymentalnie. Obawiam się, że wykazać tego nie potrafimy. Cóż więc nam pozostało? Ano jedno tylko. Uznać twierdzenia matematyki za tezy metafizyczne!

L.B.

Stanisław Lem „Summa technologiae” 1964, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

NA PEWNO NIE SCHEMAT

Aleja „Poniewierca” zaczyna się w latach pięćdziesiątych na przedmieściu Łowowa — Błoniu Kleparowski, a kończy się w tymże samym mieście w maju 1924 roku. Powieść kończy się symbolizacją sceną: główny bohater, Józio, syn cieśli — Polaka i matki — Ukrainki, wyrobnicy i posługaczki przyłącza się

do pochodów pierwszomajowego. Pochód zostaje rozbity przez bojówkę faszystowską, ale Józio ratuje sztandar. Odbiera i posłuszny odnosi sztandar do lokalu związkowego. Ten akcent kończy pierwszy etap drogi życiowej Józia.

Jan Brzozwa nie zawahał się o problematyce powieści do ukazania schematu, zyciorysu bohatera. Jego powieść jest gruntowną kroniką pierwszego ćwierćwiecza naszych czasów: szeroka i ciekawa panorama obywatelska i polityczna. Brzozwa jest bystrym obserwátorem, posiada niezawodny umysł konstrukcyjny. „Poniewierca” jest utworem ciekawym, pouczającym, godnym polecenia. „Pamiętnik bezrobotnego” pisał Brzozwa w roku 1933. W trzydziści lat później napisał „Poniewierca”, rzecz, która stanowi ważny etap na drodze pisarskiej autora „Pamiętnika bezrobotnego”.

T.M.

Jan Brzozwa, Poniewierca, Wydawnictwo Łódzkie 1964, str. 262, cena zł 14.

Proszę o głos

Artykuł dr St. Kaszyńskiego z dnia 23 lutego br. pt. „Kaprys czy prawidłowość” nosił podtytuł „artykuł dyskusyjny”. Ten dodatek sprowokował mnie, aby proszę o głos w dyskusji. Choć zgadzam się z niektórymi punktami artykułu, chciałabym z wrodzonej próżności, co do kilku spraw trochę się posprzeczać. Autor porusza głównie zagadnienia repertuarowe. Sądziłam, że głos zabiorą kierownicy teatrów, bo ich orędziem jest pióro, ponieważ jednak nie mam milcząco — niech mi darują moje skromne rozważania.

O repertuarze, jak o zieleni „można nieskończenie”. Może więc na początek o wznowieniach i powtórzeniach, które to słowem dr Kaszyński z tak wielkim naciskiem podkreślił.

Na jednej z licznych dyskusji, znany krytyk p. Wojciech Natanson mówił, że za jego młodych lat w Krakowie zdążył zobaczyć w okresie studiów, na scenie teatru im. Słowackiego, Fredry, Wyśpiańskiego, no i oczywiście „Dziady”. Dalo mu to bezcenny ładunek na całe życie. Natomiast dzisiaj — stwierdzał p. Natanson — młody człowiek w okresie szkoły średniej i wyższych studiów, dobrze jeśli zobaczy trzy lub cztery sztuki z polskiej klasyki.

Oznaczałoby to, że teatry za mało się liczą z tym, że młodzi dorastają. — Jednakże, jeżeli się liczą to chyba mają słuszną rację. Maria Stuart była grana w Łodzi lat temu dziesięć lub jedenaście. Oweczesne dziesięciolatki, widzowie „Pinokia” i „Arlekina”, dziś już pełnoletni, powinni chyba znać ten utwór z zewnątrz, a nie tylko z lektury szkolnej. Istnieje w teatrach dobre starsze zwyczaj grania dla młodszych repertuarów, co siedem, osiem lat, gdy to jest właśnie okres dorastania nowego pokolenia widzów.

Nasylenie każdego dorastającego pokolenia znajomością ze sceny dzieł klasyki polskiej jest artystycznym i społecznym obowiązkiem teatru wobec kultury narodowej. A więc powrót na scenę szeregu pozycji, to nie bezradność, ani lenistwo, ale prawidłowość, na pewno prawidłowość. Przy tym sztuka wystawiona w innym teatrze, przez innego reżysera, w innej scenografii i grana przez innych aktorów nie może być traktowana jako „wznowienie”. Tyczy to zarówno „Marię Stuart” jak i „Moralności pani Dulskiej”. Spektakl w Teatrze im. Jarczaka nie może być uważany za wznowienie przedstawięcia sprzed osmiu lat w Teatrze Powszechnym. Musimy się też z tym pogodzić, że „Dulski” jest już dziś pozycją klasyczną i winna wracać na scenę w określonym czasie. Czy zaś nowy spektakl jest lepszy czy gorszy od poprzedniego — to już jest ponętny temat do wnikliwej analizy i porównań dla recenzentów.

A „Krakowiacy i Górale”, „Igraszki z diabłem”? — za pyta dyskutant. — To przypadek specjalny. Moim skromnym zdaniem, łódzkie teatry mogą się szczycić tym, że parę przedstawień z najbardziej twórczego okresu Leona Schillera przechowały jak cenny spadek w niezmiennym kształcie, pod opieką tych samych scenografów (Daszewski, Axer) pod czujnym okiem asystentów Schillera (Merunowicz przy wznowieniu „Burzy” w Teatrze Nowym, Hryniewiecki w Teatrze im. Jarczaka) i z udziałem aktorów, którzy brali udział w premierowej obsadzie. Daje to młodej widowni, która nie miała szczęścia widzieć schillerowskich premier, możliwość zetknięcia się z jego cennymi inscenizacjami. Dzięki tej troskliwości, w dziesięciolecie śmierci Schillera, jedynie w Łodzi można było zobaczyć schillerowskie przedstawienie. Ze zaś aktorzy nie pozostali przy rolach, które grali lat

temu... nacię, to dlatego, że czas biegnie niestety nie tylko dla młodzieży.

Wznawianie schillerowskich inscenizacji przez łódzkie teatry, to nie kaprys, ani tym bardziej łatwizna, a reakcja widowni wskazuje na to, że przedstawienia te zawsze jednakoż działają.

Reakcja widowni — to ważki temat poruszony w artykule dyskusyjnym. Autor sam podkreśla rozwarstwienie widowni i różnorodność gustów, które jednak decydują o powodzeniu sztuki. Czy to znaczy, że należałoby się stosować do upodobań przeciętnej widowni? — Myślę, że raczej należałoby doskonale znać wszystkie bodźce, na które w widowni reaguje i operować nimi w sposób najszlachetniejszy. Lecz to nie jest sprawa prosta. Ludzie teatru znają z doświadczenia widownię lepiej, niż krytycy. Lepiej, ale na pewno ciągle niedostatecznie. Bo tu nie pomagają żadne ankiety ani dyskusje z widzami. Potrzebne są systematyczne naukowe badania z dziedziny psychologii odbioru sztuki. Poza tym, może by tak recenzenci spróbowali czasem przyjść na dwudziestopięcioletnie przedstawienie pomiędzy zwykłych widzów, na tańsze miejsce na balkonie, i obserwować działanie przedstawienia. Można usłyszeć nierzadko wiele trafnych uwag. Można również sprawdzić o ile recenzje wpływają na precyzję i smak widowni. Takie wycieczki w nieznane strefy dalyby na pewno wiele materiału do przemyślenia. Czasem mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia takiej „zagadki”, jak powodzenie „Barbary Radziwiłłówny”, które zresztą sam autor sugeruje. Ja dodam tylko, że ten szacowny utwór jest przecież (mnie też proszę darować bluźnierstwo) melodramatem połączonym z szlachetnym tradycyjnym patriotyzmem. Na te dwa elementy widownia zawsze reaguje spontanicznie. Ponadto pięknie mówiony, łatwy dla ucha wiersz, barwna inscenizacja i doskonała obsada. W tym powodzeniu nie ma żadnej zagadki. Bardziej zagadkowe by waja czasem porażki sztuk, na których powodzenie się liczyło. Np. „Sześć postaci” Pirandella. Przedstawienie to skłonał wyreżyserowane, z dobrymi pozycjami aktorskimi nie znalazło w Łodzi żadnego rezonansu i zeszło z afisza po niewielkiej liczbie przedstawień.

Teatr winien zawsze dążyć do pobudzenia i organizowania wyobraźni widzów. Należy jednak mieć świadomość, że w momencie, gdy scena chce rozbić jakiekolwiek utarte, nawiązane pojmowanie świata, widz świadomie, lub podświadomie broni się, zamyka, przestaje przyjmować przedstawienie, a wtedy zaczyna się nudzić. Nie mówię oczywiście o publiczności premierowej, której percepcja i reakcje są odmienne. Lecz przecież poruszenie myśli i wyobraźni przeciętnych widzów jest celem teatru.

Eksperyment jest zawsze po nętny, nawet za cęcej mniejszej frekwencji, o ile ciężar gatunkowy zagadnień poruszanych w materiale eksperymen talnym jest wart poświęcenia. Z tej racji myślę, że warto eksperymentować z takimi utworami współczesnymi, które niosą istotne problemy na szego czasu. Warto wtedy walczyć z oporami widza, który jest zmęczony trudnościami naszej epoki, i pragnie jak na wygodnej (czemu się nie dziwimy) zasklepić się w „na szęj małej stabilizacji”. Jeżeli sztuka usiłuje rozbić tę walczą otoczkę i zasnąć niepokój — musimy wiedzieć w imię czego to robimy. Przykładem są tu nielatywne sztuki Brechta, które jednak dzięki swej zawsze aktualnej problematyce zdobyły widownię.

Nie wydaje mi się jednak możliwe sięganie dla eksperymentu po wymienionych przez dra Kaszyńskiego autorów z przełomu wieków. Ulegając nalogowi powtórnym lektur przekonałam się, że nastrojowy symbolizm Maeterlincka, rzeźbione dialogi Agławeny i Celsetty nie mają dla nas dziś nic do powiedzenia. Czy może nas dziś wstrząsnąć „Intruz” — nas któryś szaleńcy krok śmieci tułającej gestapowskiej butami koło naszych drzwi. Spośród synichytnych hojnie nazwisk i tytułów pewnie zdziwienie wywołało we mnie nazwisko d'Annunzio. Może to do sprawy mego osobistego gustu, ale nie wydaje mi się, aby ten dość manderyczny, pełen pretensjonalnej pozycy pisarz był istotnie gwiazdą na przełomie wieków, jak go określił dr Kaszyński. Jakkolwiek pozycje zajmował d'Annunzio w okresie gdy był „in floribus” — dla współczesnego odbiorcy śmiem twierdzić — jest kompletnie niestrawny.

Zgadzam się z drem Kaszyńskim, że teatry odznaczają się nadmierną nieśmiałością, czy rezerwą w stosunku do wielkich Greków. Natomiast pragnę przypomnieć, co łatwo sprawdzić, że Lope de Vega, Schiller i Czechow goszczą dość często na łódzkich scenach, że wspomnę choćby niedawno, a znakomicie przedstawienie „Trzech sióstr” w Teatrze Nowym.

Czy „nie zauważono Żeromskiego”? „Przebieżka” najlepsza ze sztuk Żeromskiego grana była niedawno. Sądze, że autor artykułu dyskusyjnego ma na myśli „Różę” lub „Sukłowski”? nie przypuszczam bowiem aby się u pominął o „Turonia”, „Białą rekawiczkę” lub „Ponad śnieg”.

Na zakończenie chcę dodać, że zabralam głos w dyskusji, aby dać nieco dowodów, iż w repertuarze teatrów łódzkich istnieje na pewno jakaś prawidłowość, która można zbadać dokładnie dopiero po przeanalizowaniu wszystkich skomplikowanych okoliczności, które wpływają na bieg pracy w teatrach, okoliczności często od teatrów niezależnych. Czy zaś gościem widowni rzadzi kaprys? Myślę, że też pewna prawidłowość tylko, jak już wspominałam niedostatecznie badana.

Furtka dla HAZARDU

Pewien rodzimy przestępca gos podarczy, zapytany na rozprawie sądowej w jaki sposób użytkował zdefraudowaną przez siebie sumę, sume niebagatelną, bo sło kilkadziesiąt tysięcy, oświadczył z żałowaniem uśmiechem, że bardzo szybko pozbył się łatwo zdobytych pieniędzy. Przez całe życie marzył o wielkiej grze. Chciał choć przez chwilę znaleźć się w kręgu wielkich emocji. I dopiół swego, częściej pienieć przegrał w ruletkę, potem postawił na niewłaściwego konia w zawodach hipodromu i stracił resztę.

Każdy prawie program telewizyjny musi zdobywać sobie publiczność. Zwalazza programy cykliczne możnolnie pracują na swój sukces. Ich wartość są starannie rozważane przez kompetentnych i nie kompetentnych, którzy usiłują krytycznie wskazać na obiektywne walory postrzeganych wrażeń. Popularność programu nie mierzy się jednak według zasad przyjętych przez krytyków. Ani według wyroku, jaki w przygotowanie audycji wkładają jej twórcy. A w każdym bądź razie nie wszystkie programy zawiadczają popularność swojej rzetelnej wartości lub obiektywnej ocenie krytycznej. Sporo jest takich, wokół których gromadzi się ogromna ilość odbiorców bez niczyjego w tym kierunku wysiłku.

Przed kilkoma tygodniami „Polityka” opublikowała wyniki ankiety telewizyjnej przeprowadzonej wśród uczniów III i IV klasy szkoły podstawowej. Pytania miały na celu ustalenie co dzieci oglądają najczęściej. Na pierwszym miejscu znalazły się Kobra i quizy. potem szły tytuły znanych programów rozrywkowych (świadczące zresztą o nie najgorszym guście naszej młodzieży). Nikt wprawdzie nie przewidywał powszechnego wyjazdu wśród rodziców ankietowanych dzieci, ale nie ulega chyba wątpliwoś

Opowiadania tragiczne i pogodne

Ludziom utyskującym na brak książek o Łodzi chciałbym synąć w twarz paroma świeżymi tytułami, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Oto one: „Konferencja u mecenasów” Władysława Rymkiewicza, „Córka tego, co tramwaje jeździ” Honoraty Chrościelewskiej i „Złodzieje owoców” Antoniego Kasprowicza. Akcja wymienionych powyżej utworów dzieje się bądź w Łodzi przedwojennej, bądź współczesnej, a częściowo także na terenie ziem łódzkich jak np. w przypadku powieści Władysława Rymkiewicza. Dziś chciałabym się zająć zbiorem opowiadań Antoniego Kasprowicza (nie mylić z Janem Kasprowiczem, który nie był łódzianinem i od dawna już nie żyje).

Antoni Kasprowicz, urodzony łódzianin, znany był dotychczas jako poeta. Zadebiutował tomem wierszy „Słońce za murem” w roku 1935, potem wydał jeszcze dwa zbiory: „Chwasty płożące” (1937) i „Flet czarnodzielski” (1939). Wojna wyrwała na wiele lat pióro z ręki poety. Kasprowicz nie mógł pozbiierać się i po wojnie, czego dowodem może być fakt, że choć nie przestał pisać, to jednak dopiero w roku 1957 ogłosił „Poemata łódzkie”. Były to wiersze proste, chwytające za serce swą szczerością i autentyzmem przeżyć, całkowicie tradycyjne, zrozumiałe, poświecone problematyce społecznej. Przeglądam dorobek poetyckiego Kasprowicza były wydane przed paroma laty (1961) „Wiersze wybrane” z przedmową Władysława Broniewskiego.

I oto obecnie narodził nam się Kasprowicz-prozaik. Znam Kasprowicza od dawna i zawsze podziwiałem jego talenty narracyjne. Umie on świetnie opowiadać, w szczególności plastycznie i obrazowo rysował przed słuchaczami sceny rodzajowe z łódzkich przedmieść, w których tragizm, drwina i groteska miesza się z sobą w sposób osobliwy i zaskakujący. Podłuchane i dobrze zapamiętane dialogi dodawa

ły jego opowieściom uroku folklorystycznego. „Antoś, zapisał to!” — mówiliśmy mu nieraz, a on się tylko uśmiechał. I wreszcie napisał „Złodzieje owoców” — to debiut prozatorski Antoniego Kasprowicza. Powiedzmy od razu, że są to opowiadania, pisane z dala od wszelkich eksperymentów prozy współczesnej. Autor posłużył się w nich konwencją realistyczną, od dawna wypróbowaną. Gdy się czyta te opowiadania, ma się przekonanie, że ich urok i siła leżą poza wszelką formą. W samym materiale, w samej obserwacji, w samym autentyzmie opisywanych postaci i wydarzeń.

Jest tych opowiadań w tomie trzynaście. Nie jest to trzynastka feralna. Z pewnością najlepsze jest opowiadanie tytułowe — „Złodzieje owoców”. Dowodzi ono niezłobnie, że Kasprowicz ma w prozie duże szanse. Z grubszą biorąc treść tego opowiadania jest następująca. Właściciel sklepu z warzywami i małego ogródka owocowego, Klemens Samożęć, przytapał pewnego razu chłopaka na kradzieży jabłek. Chłopak prosi, by mu nie robić krzywdy. Tata pracuje tylko trzy dni w tygodniu, rodzeństwo kupa, lekarz nakładł siostrze pięć mleko i jeść owoce, nie ma za co kupić, więc on nie miał innego wyjścia. Klemens Samożęć ma miękkie serce, już właściwie ma zamiar go puścić, ale przypomniał sobie, że żona Monika bardzo by się na niego gniewała, więc pro wadzi chłopca do sklepu przed oblicze żony. Tam bije pięścią w stół i wykrzykuje że zaprowadzi chłopca do więzienia, aż surowa Monika ulitowała się nad chłopcem i poradziła mężowi, by poszedł z chłopcem do rodziców i upomniał się o zapłatę. Klemens zaprowadził Felka do domu. Mała izdebka, bieda aż piszczy, na łóżku leży matka Felka, która właśnie powiła nowe dziecko. Od słowa do słowa, sadzają zasnęła gościa na krześle, stary wyjmując jakąś setuchę, ptaj, zaczyna się rozmowa, która w rezultacie doprowadza do tego, że Kle-

mens Samożęć zostaje zaproszony na ojca chrzestnego noworodka, obiecuje owoce dla chorej i wszelką inną pomoc.

Pozwoliłem sobie na to streszczenie tytułowego opowiadania, ponieważ zawiera ono w sobie wszystkie właściwości stylu i humoru Kasprowicza. Zauważcie, że nie ma w tym utworze nic schematycznego. Właściciel sklepu i sadu wcale nie jest postacią krwiożerczą i w niczym nie przypomina owych dorobkiewiczów z powieści produkcyjnych. Ostrożnie zwyczajem w nim to, co ludzkie, a nieoczekiwana pointa nadaje opowiadaniu wymiar prawdziwie artystyczny. Kasprowicz wie, gdzie nieomylny instykt autentycznego pisarza. Z innego jeszcze powodu opowiadania jego zasługują na uwagę. Z wielu utworów współcześnie pisanych, zniknęło zupełnie codzienne życie ludzkie. Bohaterowie niejednej współczesnej książki wyizolowani są jak gdyby z realnej rzeczywistości i wtrąceni w jakąś próżnię ahistoryczną i pozaczasową. Nie wiemy, kim są, skąd przyszli, co robią, jakie jest ich otoczenie. Świat zewnętrzny zredukowany jest do zera, bohater przypomina wydrążone wnętrze owocu. Kasprowicz zaskarża naszą wiedzę o ludzkim życiu. Bohaterowie jego opowiadań nie ukrywają swego środowiska, znamy ich zajęcie, pracę (jeśli ją mają, bo często są to ludzie bezrobotni), sytuację domową, znamy ich dom, ulicę, najbliższe sąsiedztwo i wreszcie ich przeżycia, konflikty i kłopoty. Opowiadania Kasprowicza odznaczają się świeżością. Są jak rysunki dzieci, którymi zachwycamy się na wystawach. Darujemy Kasprowiczowi to, że nie próbuje pisać nowoczesnie. I nie będziemy go do tego namawiać, bo, być może, pisząc inaczej, zaprzepaściłby to, co nas w tych prostych opowiadaniach podbija. Poznaliśmy z nich ludzi przedmieść z lat międzywojennych, ludzi z Księstwa Miłna, ich małe radości i wielkie tragedie. Kasprowicz wszystkie swoje utwory prześwieca światłem swoistym, ludowym humorem. Jest to przyrodzony optymizm jego bohaterów, którzy w najgorszych nawet warunkach nie tracą wiary w życie, w jego sens i przemianę. W „Złodziejach owoców” znajduje coś z tych prawd o ludziach, jakie znaleźć można w niektórych filmach włoskich, na przykład w „Złodziejach rowerów”. I obójtne, czy nazywa się to realizm, weryzm czy naturalizm. Ważne, że pokazuje ludzi prawdziwych w zwyczajnych z pozoru a jakże w istocie niezwykłych sytuacjach.

Jan Kasprowicz

ogłada się już siła inercji. Przedzieł chybą wszelkie filmowe „gabinety niesamowitości”, a przede wszystkim quizy. Quizy, które kilka lat temu były przyczyną skandalu finansowych na skale państwowej. Powodzenie teleturów, tak jak powodzenie meczów bokserskich, to sama ma chybą przyczyna. Nie ma odległości mierzonej w kilometrach, nie ma telewizora sto jacego w pokoju. Jest tylko stawka, o którą gramy. Jest tylko zawodnik, bokser, czy specjalista od cybernetyki, który musi wygrać, bo w ten sposób nie tylko realizuje nasze o nim wyobrażenia, ale również wciąga nas w Wielką Grę, pozwala nam widzieć siebie samych zmagających się w walce w trudnej walce o nieokreśloną bliżej Wielką Wygraną. Pokonanie przez kody sprowadza się raz do przejęcia ponad wysoko zawieszona teczka, raz do odpowiedzi na pytanie, w którym roku podpisano Pokój Pirenejski, kiedy Indziej do wykrucia, kto zabił Browna. Za każdym razem chodzi o to samo, o namiastkę hazardu w czasie, gdy coraz trudniej o realną możliwość postawienia na właściwego konia.

MIKS

WILLIAMSAMSON Nadzwyczajna KOBIEĆA

Pewnego razu przyjechał do Rzymu młody człowiek.

Był tu po raz pierwszy: pochodził z prowincji, lecz nie był ani tak młody, ani tak naiwny, by wyobrażać sobie, że wielka i piękna stolica rozciąga się przed nim jak perspektywa, że jakieś tam miejsce pod stołcem. Wiedział, że życie to głównie złudzenia, że aczkolwiek wspaniałe rzeczy mogą się zdarzyć, tym niemniej równowagę je wiele rozczarowań; i wiedział również, że życie nie jest czymś gorszym — prawdopodobieństwo, iż w ogóle nie się nie zdarzy. Szczególnie w wielkim, zaprzętym własnymi sprawami mieście zawsze jest to bardziej możliwe.

Tak dumając stał na Hiszpańskich Schodach, spoglądał na brzęmienną rozciągającą się panoramę, słuchał narastającego gwaru wieczornej ulicy, obserwował jak w złotawym rzymskim zmierzchu zapalały się światła. Lśniące samochody przemknęły koło fontanny i gwałtownie skręcały w jarzarcia się Via Condotti czworokątne znaki neonów rozciągały zaproszenia mroki; złote okna autobusów upakowane były zdającymi dokądś twarzami — wszyscy w mieście zdawali się być zajęci swymi wieczornymi sprawami. Tylko on nie miał nic do roboty.

Uczuł się jedną samotną i osamotnioną istotą w tym mieście. Jednakże poszukiwanie przygody nigdy jej nie przybliżyło wręcz przeciwnie. Tak nastroi nie obiecywał niczego. Młody człowiek odwrócił się więc w górę schodów, minął uroczyste kościółki i zaczął podchodzić wzgórzem wybrukowanym kocimi łbami w kierunku hotelu. Stłoczone w wąskich uliczkach winiarnie i knajpki tętniły ruchem. Tuż obok, niedaleko, wzdłuż szerokich chodników Vittorio Veneto, pod drzewami wspinającymi się aż do ogrodów Borghese, wielki świat Rzymu zapiełniał najeleganckie kawiarnie Europy delectując się aperitifami o zmierzchu. Tam byłby najbardziej samotny, młody człowiek w swej samotnej wędrówce trzymał się więc spokojniejszych, starszych uliczek.

Na jednej z takich ulic — alej bez nawierzchni, pomiędzy starymi, złotymi domami, ulicą jaka w Rzymie może nagle rozkwitnąć w ukrytą plażę z fontanną i barokowym kościołem, nieoczekiwanie wydzierał się z schodzący ku niemu kłobacz sylwetka nie tu jedynym ludzi.

Gdy zbliżyła się zauważył, iż ubrana była wykwintnie, że szła z godnością, że w ruchach jej tkwił łagodny ogień latynczyków. Twarz miała ocienioną, lecz nie możliwym byłoby wyobrazić sobie, iż nie była piękna. Tak wywołany z nią, tak blisko niej przechodząc, i ona symbolizująca przygodę, bez której wieczór był tak pusty... ogarnęła go głęboka melancholia. Poczł się niedźny jak śmieć, mały, poniżony, żalony. Skulił więc ramiona i spuścił wzrok — rzuciwszy jednak przedtem w jej oczy jedno skryte spojrzenie.

Tym co ujrzał był tak zaskoczony, że zatrzymał się zaskoczony, zagapił w jej twarz. Nie nie pomylił się. Ona naprawdę się uśmiechała. Również ona, ona również, wahała się. Pomyślał momentalnie: „Dziwka?”. Lecz nie — to nie był ów rodzaj uśmiechu, jakkolwiek i ten nie był bez wyznania. I dalsze zaskoczenie — odezwała się.

— Ja — ja wiem, że nie powinnam pana prosić... ale to jest taki piękny wieczór — i być może pan również jest samotny, tak samotny jak ja...

Była bardzo piękna. Nie mógł się odezwać. Narastające podniecenie pomogło mu się jednak uśmiechnąć. Kontynuowała więc wciąż niepewnie, nie nalegając:

— Myślałam... być może... moglibyśmy pospacerować, jakiś aperitif...

Młody człowiek oprzytomniał w końcu. — Nie, nie nie sprawiłoby mi większej przyjemności. I Veneto jest jedynie minucie stąd.

Uśmiechnęła się.

— Mój dom jest tu zaraz...

W milczeniu przeszli kilka kroków w dół ulicy, do zakrętu, który młody człowiek już był minął. Wskazała. „Tedy”. Po deszli do miejsca, gdzie białe upokorzone domki kończyły się w pewien rodzaj przerwy. Wznosiła się tu ściana ogrodu, za którą stał wielki elegancki pałac. Kobieta, której twarz jaśniała dziwnym bladym światłem, jakby coś tliło się poza przezroczystą białością doskonałej skóry, o oczach szarych i błyszczących, o demnych brwiach i czarnych połyskliwych włosach — wsunęła klucz w ogrodową furtkę.

Powitał ich służący w aksamitnej liberii. W obszernym i wytwornym salonie, pod kandelabrem z pięknego szkła, otwartym na zarośniętą soczysta zielenia dziedzińca, gdzie szemrała woda, podano im białe wino. Rozmawiali. Wino — lodowało w gorąca rzymska noc — napełniało ich radosnym żarem. Jednakże od czasu do czasu młody człowiek spoglądał zaskoczony na towarzyszkę.

Spojrzeniami, wieloma subtelnościami modulacji głosu, błyskami oczu i zębów, wprowadzała nastroj intymności porównawczej wiele oczekiwań. Czł. że musi być ostrożny. Przez dłuższy czas myślał, że najlepiej będzie podziękować jej — i tak wykreślił się, podając jakakolwiek wymówkę. Przeszkodziła mu jednak: najpierw uśmiechem następnie spojrzeniem pełnym jakiegoś smutku. Prosiła by oszczędził sobie niepokojów: wiedziała, że było to dziwne, że w tej sytuacji mógł podejrzewać jakiś inny cel. Była jednak tylko jedna prosta prawda: była samotna i — to z pewnym namysłem — prawdopodobnie coś w nim prawdopodobnie coś tam w tej chwili zmierzchu na ulicy oblało się jej bezgranicznie atrakcyjne. Nie mogła na to nie poradzić.

Możliwość idealnego spotkania — marzenie, którego lata rozczarowań nigdy nie zabija całkowicie — zadecydowało. Upojenie przekroczyło granice kontroli. Uwierzył jej. I później doskonałość poczuła się uzupełniać. Na jej zaproszenie jedli obiad. Służba przyniosła wykwintne potrawy; ostrzygli, tuste ciała ptaków, delikatne owoce. Siedli następnie na sofie, w pobliżu chłodnego dziedzińca. Przyniesiono likiery. Służba się wycofała. Na dom spłynęła cisza. Padli sobie w ramiona.



Chwile później, bez słowa ujęła jego dłoń i wywiodła z pokoju. Jakże głębokie zapadło między nimi milczenie. Serce młodego człowieka waliło z przerażenia — można było słyszeć, czuć to, odbite echem od marmurowych ścian hallu, przez które przechodził. Było wyzywające przez ujmującą jego reke dłoń. Podniecenie wynikało teraz z pewnością. Pewność, że w tym momencie, w taki cudowny wieczór wszystko musi pójść dobrze, wszystko musi się udać. Nie było potrzeby mówienia. Razem wstępowali na wielkie, szerokie schody.

W sypialni, przed jej obrazem w ramach zasłoniętym: młodzi nagości przeświecającej przez jedwabny peniarz, wznął swa miłość, która miała być wieczna, miała być niezmiennie doskonała, tak ba-

jęcna jak to ich nadzwyczajne spotkanie. Młokim głosem odpowiedziała na jego wyznanie. Nie nie będzie nigdy stało między nimi, nie będzie nigdy nie fałszywego... Łagodnym ruchem podała mu piżamę.

Lecz w chwili, gdy w końcu leżał przy niej, kiedy jego usta były niemal na jej ustach — nagle zawałił się.

Coś było nie tak: w idealnej atmosferze wyczuwał skazę. Słuchał, zastanawiał się — i nagle dostrzegł: w tym był jego

biał. Przy łóżku łagodnym światłem jarzyły się osłonięte lampki — lecz był tak niedbale, że pozostawił jasny elektryczny kandelabr pośrodku pokoju. Przypomniał sobie, że wyłącznik jest przy drzwiach. Zawałił się przez moment. Podniosła powieki — zobaczyła jego spojrzenie na kandelabrze rozumiła.

Jej oczy zabłysły. Wyszepiała: Mój ukochany, nie kłopot się — nie wstawał... I wyciągnęła reke. Reka jej rosła, reka jej wydłużała się, dalej i dalej, wyciągała się poprzez zasłony łóża, ponad długim dywanem, potężna, przesłaniająca cały długi pokój, aż w końcu ogromne palce były przy drzwiach. Z ostentacyjnym trzaskiem wyłącznika, zgasiła światło.

Tłum. z ang. L. U.

Notatnik KULTURALNY

R-14. VI. 64. R.

PONIEDZIAŁEK

Przy kioskach „Ruch” często słyszymy: „czy ma pan przyjaciółkę?” — kłopotliwie jednak nie oburza się na te niedyskretne pytania. Chodzi bowiem o tę najtańszą w świecie „Przyjaciółkę”, w którą wystarczy inwestować 1 zł tygodniowo. Sprawdziłem niedawno jakie pismo tygodniowe jest w Łodzi najpopularniejsze. „Przyjaciółkę” kupuje przeciętnie ponad 61 000 osób. „Przekrój” natomiast tylko 31 000.

Ciekawiło mnie również jaki tygodnik jest w Łodzi najmniej popularny — i oto proszę: „Szpilki” — 1750 egzemplarzy. Humor i satyra są zatem w Łodzi niepopularne? A może tylko nudny humor i dętna satyra?

WTOREK

„15 lat Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego”. Wystawa okręgowa — jedenaście z kolei. Spośród 250 prac 37 autorów wybrano 104 prace 23 fotografików — w tym pięciu debiutantów. Chodzę z katalogiem wokół planaszy. „Energia” Karola Kaspra niedawno reprodukowała w „Ogłoszeniach” — fotogramy dzieci barwie żyłki głębokie i wyraz, jest posępny, lecz jakis optymistyczny — kojarzy mi się z przedświatem. Dowcipne „Środki łączności” Herez niska — rząd białych gołębi na dachu ustrójnym rzędem telewizyjnych anten. I wreszcie to, co mnie najbardziej zabolowało. „15 lat Łódzkiego”. A na wystawie stara dzielnica w Zakopanem, pejzaż z okolic Czerwonego. Kąpieliska nad Wisłą, wspólczesna Warszawa... i próżno szukam w katalogu na planszach tego jednego skromnego tytułu

„Łódź”. Nie ma. Proszę mnie nie nie rozumieć — to nie jest klasny partykularny, to po prostu trochę żal, a trochę zawód.

ŚRODA

Czegóż to Łódź nie eksportuje! Eksportuje transformatory i dzianinę, eksportuje (do Warszawy) pisarzy i filmowców, eksportuje (do Krakowa) malarzy... Ostatnio zakontraktowano na eksport kierownika przez Leszka Rudnickiego zespół artystyczny Młodzieżowego Domu Kultury. Tak więc do tego już doszło. Eksportujemy młodzież, do młodych artystów z MDK oczarując muzyką, tańcem i tzw. słowem wiązonym (montaż poetycki na cześć dwudziestolecia PRL) widowiska metropolii Ziemi Łódzkiej — Bodaczowa, Zwierzynicy, Krasnobrodzian... Przy okazji eksportu zwykle używa się formuły: „Młodzi artyści w kraju”. Młodzi artyści w kraju — to jest w Łodzi, obok dymiących kominów, przysiółkowych Bałut i ulicy Piotrkowskiej jest wesoła rozpięta młodzież.

CZWARTEK

„Coraz piękniejsze mamy szkoły”. To hasło kon kursu estetyki szkół mówi prawdę. Idźcie do szkoły nr 93 — ujrzycie piękną dekorację klas i korytarzy, idźcie do szkoły nr 19 — ujrzycie oryginalne alpinarium... Obejrzyjcie razem z komisją Muzeum Sztuki i Kuratorium 150 łódzkich szkół podstawowych, a przekonacie się, że hasło nie kłamie. Konkurs „Coraz piękniejsze mamy szkoły” został właśnie zakończony i w wyróżnionych szkołach zawisła reprodukcja malarstwa — nagroda Muzeum Sztuki. Kuratorium obdarzyło ze swej strony dyplomami. Nie widziałem tych własnych dyplomów ale wiem, że ów gatunek twórczości plastycznej jest raczej kiczowaty. Za osiągnięcia w dziedzinie estetyki wewnątrz nagradzać twórcę, który bardzo rzadko ma coś wspólnego z estetyką — trochę ryzykowne. Warto było chyba pójść tropem Muzeum Sztuki.

PIĄTEK

Niedługo spojrzymy z ciekawością w ekran telewizorów. W łódzkiej Wenej — Opolu 37 uczestników rozpocznie gigan-

tyczny recital polskiej piosenki. Z Łodzi będą tam studenci „Cytryny” i „Pstraga”. Będzie Lena Baecelarelli, Jadwiga Strzelcka i Tadeusz Wozniakowski. Nie najciekawsza jest reprezentacja Łodzi — osobiście najbardziej liczę na sukces piosenkarzy studenckich. Nie będą to może szlagiery, które pragną nucić masy, ale na pewno będzie to miła, kulturalna piosenka. Opole okazał się trochę niewyważnym, Zagranica przysłała nam raczej swoje remanenty i nadzieje, aby Sopot stał się San Remo wschodniej Europy są bardzo niktne. Opole za to ma szansę. Łódź piosenkarze mają szansę. Kto wie może nawet polska piosenka ma szansę.

SOBOTA

Przyszedł do mnie kolega i mówi: „Szkoła, w której pracuję, otrzymała patrona, napisz coś o tym”. Patronem tym został Gustaw Moreniewicz — pisarz, nauczyciel, autor wielu książek dla dzieci. Mogę napisać — dobry wybór. Ale mogę także napisać, że metoda wyłonienia patrona w szkole nr 96

była moim zdaniem barzo mądra. Odwołano się do młodzieży, przeprowadzono plebiscyt i Gustaw Moreniewicz zwyciężył, wyprzedzając o kilka długości nas, stronnego kandydata Johna Kennedy'ego. Spośród 166 łódzkich szkół podstawowych tylko osiem posłada patronów. Są nimi: Moniuszko, Wyspiański, Krupski, Słowacki, Żeromski, Głazewski oraz dwie szkoły noszą imię Tysiąclecia Państwa Polskiego. Myślę, że miło mieć w swojej szkole patrona, myślę, że miło mieć patrona wybranego wolą większości. Myślę, że metodę zastosowaną w szkole nr 96 zastanawia kierownictwa pozostałych 158 łódzkich szkół podstawowych. Szkół, których jedynym znakiem firmowym jest numer ewidencyjny, martwy i bez wyrazu.

NIEDZIELA

Łódź jest ponad stołecą polskiego filmu — festiwal filmowy odbywa się w Warszawie i Krakowie. Opole nie ma ani Filharmonii ani Wyższej Szkoły Muzycznej — stołecą polskiej piosenki jest Opole. Ale Łódź ma poe-

tów i Łódzka Wiosna Poetów organizowana — nie, nie przez Wydział Kultury — przez PAX. Ostatnia Łódzka Wiosna Poetów stała się raczej Latem. Ktoś zdołał słuchać wierszy współczesnych poetów w 40-stopniowym upale. Nawet syfony z wodą sodową (to, broń Boże, nie symbol ani aluzja) na stołach w lokalu PAX nie nastroja do poezii entuzjastycznie. Ale nie o entuzjastycznym chodzie. Dziś tylko zwycięstwo LKS może wywołać entuzjazm. Albo rzut Sidi. Albo cios Kasprzaka. Imprezy poetyckie są ciche i kameralne, nie interesuje się nimi czytelnik popularnych dzienników. Ale te imprezy są, odbywają się, co roku — Łódzka Wiosna Poetów ma już za sobą 6-letnią tradycję.

Ta łódzka, kameralna impreza ściera co roku z całej Polski młodych, wstępujących na śliskie i wyszczerbione posadzki literackiej giedy. Na liście giełdowych kursów dostają się tylko nieliczni — ale oni wciąż przybywają, przychodzą ze szkół, miasteczek i wsi — pełni nadziei i optymizmu.

JERZY WILMAŃSKI